EDWIN JĘDRKIEWICZ: „Igry" (Akt pierwszy) MARIAN DES LOGES: „Gdański Biskupin"

CENA 20 zł
STRON 10

TYGODNIK WYBRZEŻA

ROK III SZCZECIN, 17 PAŹDZIERNIKA 1948 R. NR 40 (114)

LEON SZECHTER

PRZYJAŹŃ

Z zawieruchy drugiej wojny światowej powstała Polska Ludowa, której drogę wolności torowali bohaterscy żołnierze radzieccy i polscy.

Ujawniły się bogate skarby duchowe pokolenia. Naród wziął władzę w swe ręce. Buduje nowy ustrój społeczno-gospodarczy. Buduje gmach sprawiedliwości społecznej.

Klasa pracująca, wznosząc wysoko czerwony sztandar rewolucji proletariackiej, ruszyła do zwycięskiego boju i w walce tej nie była osamotniona.

Polska Ludowa znalazła oparcie o prawdziwego sprzymierzeńca — Związek Radziecki.

Przyjaźń polsko-radziecka ma wspaniałą historię. Już na polach walki z najeźdźcą hitlerowskim uświęcona ona została wspólne przelaną krwią.

Naród radziecki na początku swego istnienia wyciągnął braterską dłoń do narodu polskiego. 29 sierpnia 1918 roku rząd radziecki unieważnił umowy i traktaty dotyczące rozbiorów Polski „jako sprzeczne z rewolucyjnym poczuciem prawnym narodu rosyjskiego, który uznał, iż naród polski posiada nieodbieralne prawo do niepodległości i zjednoczenia".

Zdawałoby się, że Polska, która powstała po wiekowej niewoli przyjmie wyciągniętą dłoń i we wspólnym marszu pójdzie na spotkanie nowym czasom. Tak się jednak nie stało. Dłoń ta została odepchnięta. Nastąpiły lata walki z siłami postępu. Zostały odrzucone zasady demokracji. W rezultacie Polska padła ofiarą straszliwej tragedii, podzielając los narodów podbitych przez dzikie hordy hitlerowskie.

W mroku okupacji zajaśniała czerwona gwiazda wolności narodów radzieckich.

Związek Radziecki rzucił hasło solidarności słowiańskiej.

„Sojusz narodów słowiańskich — oświadczył Generalissimus Stalin — to nie carski „wielkodzierżawny" panslawizm — to sojusz równouprawnionych państw słowiańskich. Związek Radziecki stoi właśnie na straży takiego sojuszu. Polska powinna być silnym i niezależnym państwem demokratycznym. Powinna posiadać silną armię, która razem z sojuszniczą Armią Czerwoną, stanie na straży demokracji, bezpieczeństwa i pokoju. Takiej Polsce Związek Radziecki zawsze gotów jest iść z pomocą, Polska i Związek Radziecki powinny pracować nad wychowaniem swoich narodów w duchu wzajemnego poszanowania i zrozumienia— w tym celu, by na zawsze usunąć niebezpieczeństwo wojny".

Kiedy zwycięskie wojska radzieckie i polskie w bojowym pochodzie dobijały ostatnie twierdze hitlerowskie, Generalissimus Stalin, z okazji podpisania polsko-radzieckiej umowy o przyjaźni, wzajemnej pomocy i powojennej współpracy, oświadczył, że umowa jest gwarancją niezawisłości nowej demokratycznej Polski, gwarancją jej potęgi i rozkwitu. Dopóki nie było sojuszu między naszymi krajami, Niemcy miały możność wykorzystania braku jednolitego frontu między nami, mogły przeciwstawić Polskę Związkowi Radzieckiemu i naodwrót i w ten sposób uderzać na nie pojedyńczo.

Sprawa ta uległa gruntownej zmianie od czasu, gdy doszło do sojuszu między naszymi krajami. Obecnie już nie można przeciwstawiać jednego kraju drugiemu. Obecnie istnieje jeden front naszych krajów od Bałtyku do Karpat przeciwko wspólnemu wrogowi, przeciwko imperializmowi niemieckiemu. Obecnie można z całą pewnością powiedzieć, że agresja niemiecka spotkała zaporę od wschodu".

Gdy siły reakcji światowej, dążąc do odrodzenia imperializmu niemieckiego, zakwestionowały nasze granice na Odrze i Nysie, znów rozległ się głos Związku Radzieckiego

Przewodniczący Komitetu Słowiańskiego w Moskwie gen. Aleksander Gundorow złożył następujące oświadczenie:

„Podejmując wciąż na nowo rozstrzygnięte już zagadnienie zachodnich ziem polskich, przywróconych Macierzy po klęsce faszystowskich Niemiec, ponure siły reakcji światowej pragną w ten sposób postawić pod znakiem zapytania uchwały poczdamskie.

Historyczna słuszność tych uchwał, historyczne prawo narodu polskiego do tych ziem, nie ulegają żadnej wątpliwości dla społeczeństwa krajów słowiańskich. Próby ponownego podjęcia kwestii Ziem Zachodnich uważać można jedynie za wyraz pragnienia okazania poparcia rozbitym siłom imperializmu niemieckiego i umożliwienia ich odrodzenia. Cała społeczność słowiańska stanie w obronie słusznych uchwał konferencji poczdamskiej i nie ulega żadnej wątpliwości, że udzielą jej w tym poparcia wszystkie siły demokratyczne całego świata. Ogromna zasługa narodu polskiego polega na tym, że uczynił on już tak wiele dla odrodzenia swych ziem zachodnich i szybkiego przekształcenia ich w ośrodki demokracji, w pełnowartościowe dzielnice swego kraju.

Wraz z całym narodem polskim społeczeństwa państw słowiańskich odczuły najgłębsze zadowolenie, słuchając historycznych słów Generalissimusa Stalina i oświadczenia ministra Mołotowa o nienaruszalności granic zachodnich Polski".

Tak kształtowała się i kształtuje przyjaźń polsko-radziecka.

„Nie chcemy byście sądzili nas według słów, ale według czynów" — powiedział Generalissimus Stalin.

Z obrazu art.-malarza S. Wepchwadze)

Spotkanie J. Stalina z W. Leninem w Tammerforsie, 1905 r.

I rzeczywiście nastąpiły czyny.

Zdecydowana obrona naszych praw do Ziem Zachodnich, pomoc w tworzeniu i wyposażeniu Wojska Polskiego, w uruchomieniu transportu, urządzeń portowych i obiektów naszego przemysłu, w traktorach, ziarnie siewnym i zbożu, w pożyczce w złocie, w dostawach dla naszego przemysłu w ramach korzystnego dla nas układu handlowego, w anulowaniu naszego zadłużenia z tytułu utrzymania armii polskiej w Związku Radzieckim — oto ogniwa przyjaźni i współpracy polsko-radzieckiej.

Rośnie wielki, nowy gmach.

Kraju odbudowuje się. Realizuje się narodowy plan gospodarczy. Stwarzamy nowe wartości. Osiągamy coraz większe, coraz wspanialsze rezultaty. Łamiemy wszelkie przeszkody napotykane na drodze. Kroczymy śmiało naprzód. W oparciu o Związek Radziecki budujemy w spokoju.

Świadomość mas pozwoliła rozwinąć jedność polityczno - moralną narodów, która niezbędna jest dla odbudowy gospodarczej i realizacji tych zadań, które stoją przed naszym krajem w związku z sytuacją międzynarodową, z ofensywą imperializmu amerykańskiego i próbą stworzenia w Niemczech nowego imperialistycznego państwa.

W obronie wspólnych interesów przyjaźń polsko-radziecką pojmujemy, jako zagadnienie wzmożenia dalszej współpracy, dalszego zbliżania się i wzajemnego poznawania.

Tak ujęta przyjaźń przyśpieszy marsz naszego kraju ku socjalizmowi.

Taka przyjaźń spotęguje siły pokoju w skali światowej.

Naród Polski wysnuł słuszny wniosek z doświadczeń historycznych, że ostoją jego niepodległości jest ścisła współpraca z narodami Związku Radzieckiego.

Przyjaźń polsko - radziecka jest trwała i nierozerwalna.

STALIN O LENINIE
PIERWSZE SPOTKANIE

Po raz pierwszy spotkałem się z Leninem w grudniu 1905 roku na konferencji bolszewików w Tammerforsie (w Finlandii). Spodziewałem się ujrzeć orła górskiego naszej partii, wielkiego człowieka, wielkiego nie tylko pod względem politycznym, ale, że tak powiem, również i pod względem fizycznym. Lenin bowiem przybierał w mojej wyobraźni postać olbrzyma, człowieka postawnego i okazałego. Jakież było moje rozczarowanie, kiedym ujrzał człowieka całkiem zwykłego, wzrostu, niższego niż średni, niczym, dosłownie niczym, nie różniącego się od zwykłych śmiertelników...

Jest przyjęte, że „wielki człowiek" winien się zazwyczaj spóźniać na zebrania, by członkowie zebrania z biciem serca oczekiwali jego pojawienia się, przy czym, przed pojawieniem się wielkiego człowieka członkowie zebrania uprzedzają: „tss... ciszej... idzie". Ta ceremonia nie wydawała mi się zbyteczna, gdyż imponuje ona, wzbudza szacunek. Jakież było moje rozczarowanie, kiedy dowiedziałem się, że Lenin przybył na zebranie wcześniej niż delegaci i gdzieś, w jakimś kącie, prowadzi najzwyczajniej w świecie rozmowę, najzwyklejszą rozmowę z najzwyklejszymi delegatami konferencji. Nie ukrywam, że wydawało mi się to wówczas do pewnego stopnia naruszeniem pewnych niezbędnych zasad.

Dopiero później zrozumiałem, że ta prostota i skromność Lenina, dążenie do tego, by nie zwracać na się uwagi, a w każdym razie, by nie rzucać się w oczy i nie podkreślać swego stanowiska, — że ta cecha jest jednym z najsilniejszych rysów Lenina jako nowego wodza nowych mas, prostych i zwykłych mas najgłębszych „nizin" ludzkości.

J. W. STALIN

w tomie: „Stalin o Leninie".

NIEZAPOMNIANE DNI

Ze wspomnień generała służby przybrzeżnej **P. Mucjakowa.**

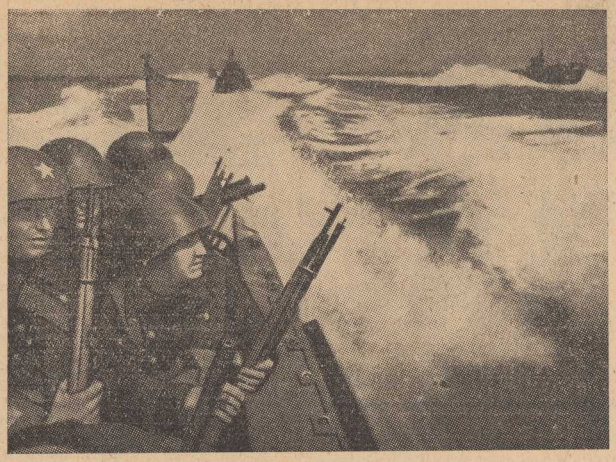

Sekretarz wiejskiego komitetu komsomołu *), wesoły i żwawy chłopiec, Żenia Sajkin, wyjaśnił nam dokładnie przyczynę, dla której nas wezwał. Powiat gdowski miał wysłać do marynarki wojennej dziesięciu ludzi, a wszystkiego z gubernii piotrogrodzkiej potrzeba do floty dwustu pięćdziesięciu komsomolców.

— Byłem dziś w komitecie powiatowym — mówi sekretarz. — Tam z samego tylko Gdowa zebrano już około trzydziestu podań. A dalsze wsi, a czerniewska fabryka zapałek, a rybacy? Wielu chłopców chciałoby dostać się do marynarki, ale nie każdemu to się uda. I jak myślicie, czy możemy dopuścić do tego, aby nasza wieś zawiodła zaufanie organizacji? Dlatego uważam, że ty — Żenia tknął mnie palcem w pierś — i Wasyliew powinniście zgłosić się do marynarki. Jeśli wyrazicie swą zgodę, a powtarzam, że jest to sprawa całkowicie dobrowolna — to piszcie podania. Jeśli chcecie naradzić się z rodziną, nie mam nic przeciwko temu, ale odpowiedź muszę mieć nie później niż jutro.

Podania napisane były natychmiast i po dziesięciu minutach maszerowaliśmy już po błotnistej drodze jesiennej do swojej wsi.

Na dworzec Moskiewski przybyło tysiące odprowadzających nas komsomolców. Szli prospektem Newskim, szerokimi kolumnami, ze sztandarami. Dwie orkiestry, na zmianę, rzucały w mroźne powierze dźwięki marszów wojennych. Nad głowami chybotały się płomienie pochodni. A kiedy orkiestra milkła, rozlegał się nasz śpiew:

— Płyń, pieśni moja komsomolska!

Na dworcu w Sewastopolu oczekiwała straż honorowa. Orkiestra przywitała nas uroczystym marszem. Krepy barczysty marynarz, dowódca załogi, A. Tatarinow, wygłosił prostą, lecz przepojoną wzruszeniem mowę:

— Widzicie, oto stoją przed wami zdruzgotane okręty — waszym będzie dziełem odbudować je. Trudne to zadanie, ale my, starzy marynarze, żywimy głęboką nadzieję, że petersburscy komsomolcy wypełnią z honorem swój obowiązek względem ojczyzny.

Po dwóch dniach, 23 lutego 1923 r., na placu Międzynarodowym składaliśmy przysięgę. Najeżone bagnetami, bataliony marynarskie zgodnie powtarzały jej słowa. Była to chwila niezapomniana. Tysiączne rzesze ludzkie patrzyły na nas oczyma całego kraju. Czuł to każdy młody wojak, znajdujący się na placu.

Krążownik „Komintern" stał przy ścianie stoczni z rozbitymi maszynami. Setki komsomolców czyściły go z rdzy, wynosiły z ładowni gruz i brud, który nagromadził się tam w ciągu dwóch dziesięcioleci, razem ze starymi marynarzami remontowano maszyny. 1 maja 1923 r. krążownik wyszedł na morze. Odprowadzał go cały Sewastopol zgromadzony na bulwarach i nabrzeżach. Były to radosne dni dla odrodzonej floty. Wkrótce wyszły w rejs kanonierki, dwa małe torpedowce — „Szmidt" i „Marti" — oraz wielka flotylla trałowców. Jesienią 1923 roku cała eskadra ruszyła wzdłuż brzegów morza Czarnego, zatrzymując się w Odessie, Teodozji, Kerczu, Suchumi, Batum. Był to pierwszy pochód odrodzonej radzieckiej floty czarnomorskiej, w składzie dwudziestu jednostek.

Marynarze-komsomolcy żywo reagowali na wypadki polityczne, jakie zachodziły w tym czasie. Pamiętam np., jak to w maju 23 roku angielski minister spraw zagranicznych, lord Curzon, wystosował prowokacyjną notę do rządu sowieckiego. W Sewastopolu, jak i w innych miastach radzieckich, odbyły się masowe demonstracje. Szliśmy wtedy ulicami bez broni, po wojskowemu odmierzając krok. Na placu Międzynarodowym odbył się miting. Z balkonu klubu marynarskiego rozlegał się głos mówcy:

— Prosimy partię bolszewików i rząd radziecki, aby w swej polityce międzynarodowej pozostały nieugięte, nie lękając się żadnych pogróżek. My, marynarze wojenni, zapewniamy towarzysza Lenina, że na żądanie ojczyzny, wystąpimy wszyscy, jak jeden mąż, w obronie brzegów ziemi radzieckiej i będziemy bronić ojczyzny z godnością i dumą młodych patriotów.

Zimą roku 1924 umarł Lenin. W kilka dni później staliśmy znów, z odkrytymi głowami, na placu Międzynarodowym i, płacząc, przy jęku syren okrętowych unosiliśmy się myślą do Moskwy, gdzie chowano w tej chwili Włodzimierza Iljicza. Powtarzaliśmy na głos przysięgę towarzysza Stalina, szczególnie utrwalając w pamięci słowa, nas dotyczące:

— Wytężymy wszystkie siły, aby wzmocnić naszą Armię Czerwoną i naszą Czerwoną Flotę!

Jesienią 25 roku przybył do nas Andre Marti, dopiero przed miesiącem wypuszczony z więzienia. Rząd francuski, pod naciskiem mas pracujących, zmuszony był zwolnić byłego marynarza francuskiej floty wojennej, posła do parlamentu francuskiego. Andre chory. Żona okutała go w ciepły szal, chroniąc od zimna, a on — wesoły, pełen radości i życia, spaceruje po okrętach, rozmawia z marynarzami, opowiada o swej walce, dzieli się uczuciami i nastrojem.

— Przeżywam swe powtórne narodziny! — woła w podnieceniu. Dostałem się do jakiegoś nowego świata, gdzie samo powietrze działa bardziej leczniczo, niż wszystkie butelkowe leki. Niedomagania moje mijają z szybkością, nieosiągalną dla zwykłej medycyny, — żartuje Andre.

Po zebraniu w klubie wzięliśmy go na ręce i zanieśliśmy do pokoju w hotelu. Szliśmy ulicami z francuskim marynarzem - rewolucjonistą, śpiewaliśmy „Międzynarodówkę" i „Marsyliankę", a Andre mówił coś do nas w swym, nieznanym nam, niestety, języku i płakał łzami radości.

Sewastopol jest miastem tradycji.

Wojennej historii marynarzy czarnomorskich uczyliśmy się nie tylko z książek i zabytków muzealnych, ale także w obcowaniu z żyjącymi ludźmi, pamiętającymi burzliwe dni rewolucyjne. Przychodzili do nas na okręt starzy oficerowie i marynarze, opowiadając o swych zmaganiach z samowładzwem. W klubie wisiał, spryskany krwią, czerwony sztandar, uszyty przez marynarzy francuskiego liniowca „Justice" w noc na 21 kwietnia 1919 roku. Pod tym sztandarem zeszli na brzeg i, wespół z rosyjskimi robotnikami, demonstrowali na ulicach Sewastopola. Sztandar ten niesiono na czele ogromnej kolumny demonstrantów. Upadł na ziemię po pierwszej salwie żołnierzy greckich i francuskich gwardzistów. Chorąży był zabity, idący obok marynarze — ciężko ranni. Lecz, mimo, iż broczyli krwią, odpełzli w boczny zaułek, unosząc sztandar. Zdjęli go z drzewca i oddali robotnikom rosyjskim.

Z czasem staliśmy się surowi i zdyscyplinowani, zarówno w służbie, jak i poza nią. Ale nasza żywa, gorąca młodość biła rwącym strumieniem we wszystkich przejawach życia codziennego. I surowe pracowite dni opromieniały się czarem romantyzmu. Lubiliśmy dobry śpiew i taniec.

Jesienią 1925 roku wypłynęliśmy w pierwszą podróż zagraniczną. Załoga w trzech czwartych składa się z komsomolców. Owa podróż zagraniczna stanowiła poważny egzamin polityczny dla wszystkich jej uczestników. I marynarze wykazali się wzorową dyscypliną, hartem, organizacją. Cała postępowa, a nawet reakcyjna prasa miast portowych, w których zatrzymywali się Czarnomorcy, podkreślała ich nienaganne zachowanie.

Na okrętach znajdowali się robotnicy i włościanie, którzy przeszli w marynarce wielką szkołę wychowania politycznego i żołnierskiego. Byli to nasi komsomolcy. Dorastali, uczyli się, stawali się dojrzałymi przywódcami politycznymi. Wielu z nich wstąpiło potem do szkół morskich, związując na długo swój los z flotą.

Kiedy w roku 1926 część marynarzy zdemobilizowano, wielu Leningradczyków pozostało dobrowolnie, aby wzmacniać w dalszym ciągu flotę sowiecką. W ich liczbie byłem i ja.

Od tego czasu minęło 25 lat, ale w pamięć wryły się na zawsze dni naszej walecznej młodości, pierwsze kroki młodych marynarzy — wysłanników komsomołu.

Tłum. M. Aszk.

*) Komsomoł — Kommunisticzeskij Sojuz Mołodzioży — Komunistyczny Związek Młodzieży.

MORZE CZARNE

jedno z najdziwniejszych mórz świata

Czternaście mórz omywa brzegi Związku Radzieckiego, ale może najbardziej osobliwym z tych mórz jest morze Czarne. Mimo, że położone jest na południu kraju, w pewnych porach roku jest najbardziej burzliwe i zimne. W rejonie północno-wschodnim, a szczególnie w okolicach Noworosyjska, zimowe wiatry wieją tak silnie, że częstokroć wywracają całe pociągi, zatapiają w porcie statki i powodują niepowetowane szkody. T. zw. „morki" potrafią w ciągu nocy tak ołodzić statki, że grozi im zatonięcie, a drzewa łamią się od ciężkiego szronu. W Odesie w zimie czasami pojawiają się tak gęste mgły, że nie widać światła latarń, tramwaje i samochody stają, by uniknąć zderzenia.

Już starożytni Grecy uważali to morze za bardzo niegościnne i nadali mu odpowiednią nazwę Pontus Axinus, a dopiero później, kiedy z handlu z tego morza zaczęli czerpać duże korzyści zmienili nazwę na Pontus Euxinus, tj. morze gościnne.

Mimo burz i innych niedogodności, morze Czarne odgrywa ważną rolę w gospodarce Związku Radzieckiego. Przez morze to przechodzi większość handlu morskiego, stanowi ono główną drogę eksportu produktów rolnych z Ukrainy i Krymu, produktów kolonialnych z Kaukazu, wyrobów metalurgicznych z południowych rejonów przemysłowych. Porty takie jak Odesa, Noworosyjsk, Nikołajew, Batum, Poti, Tuapse, skupiają jedną trzecią całego transportu morskiego ZSRR. Morze to ponadto stanowi główny teren wypoczynkowy ludzi pracy Związku Radzieckiego. Pobrzeża Kaukazu, Krymu, okolic Odesy itd. usiane są osiedlami kuracyjnymi, nieraz o bardzo zdrowotnych właściwościach.

Ale może najbardziej charakterystyczną właściwością morza Czarnego jest całkowita martwota jego wód już na głębokości ok. 200 m. Morze Czarne przedstawia owalną kotlinę o znacznej głębokości która w środkowej części już nie daleko brzegów dochodzi do 2000 m a w niektórych miejscach sięga 2240 m. Na ogromnych kilkusetkilometrowych przestrzeniach dno morza jest prawie płaskie.

Otóż ta ogromna prawie dwukilometrowej grubości warstwa wody jest pozbawiona życia organicznego, co jest bardzo rzadkim zjawiskiem w innych morzach świata. Kiedy w 1890 roku naukowa ekspedycja ze statku „Czerwonomorec" po raz pierwszy pobrała próbki wody z głębokości kilkuset metrów, uczeni byli zaskoczeni jej właściwością. Woda była czysta, kryształowo przezroczysta, ale wydawała niezwykle silną i przykrą woń siarkowodoru. Po dokonaniu analizy okazało się, że woda zawiera 6—7 cm sześć siarkowodoru w każdym litrze. Przy takim składzie chemicznym wody, normalne życie organiczne jest w niej niemożliwe.

Dalsze badania wykazały, że poniżej 200 m w ogóle wody morza Czarnego zanieczyszczone są silnym roztworem siarkowodoru. Dotychczas z całą pewnością nie wytłómaczono tego zjawiska. Jedni przypuszczają, że gazy dostają się przez jakąś szczelinę w dnie, inni, że są to skutki rozkładu chemicznego organizmów spadających z górnych warstw wody. Początkiem zanieczyszczenia głębin miało być gwałtowne wymarcie życia morza Czarnego wskutek przedostania się przez zapadlisko Bosforu słonych wód z morza śródziemnego, które uniemożliwiły życie w napół słodkich dotychczasowych wodach morza Czarnego.

W każdym bądź razie jest faktem, że już na głębokości 200 m nie ma życia w wodach morza Czarnego. Wody te pozbawione są tlenu, koniecznego do oddychania istot żywych. Wynikałoby z tego, że w morzu Czarnym nie ma pionowych ruchów wody, jak to jest w innych morzach, gdzie głębsze warstwy wody mieszają się z powierzchniowymi i wskutek tego odświeżają się tlenem.

Istotnie, głębiny morza Czarnego są nieruchome. Zjawisko to tłómaczy się nie jednakowym zasoleniem górnych i dolnych warstw wody. Mniej słone wody górne, jako lżejsze, nie mogą opadać na dół, a wody dolne, jako daleko bardziej słone, są cięższe i nie mogą podnosić się do góry. Tak znaczna różnica zasolenia już na głębokości 100 m powstaje dlatego, że przez cieśniny Dardaneli i Bosforu ciągle przedostają się z morza Śródziemnego do Czarnego znaczne ilości mocno słonej wody, która jako cięższa rozkłada się w dolnych warstwach. Wprawdzie słodsza powierzchniowa woda również przez Dardanele odpływa do Śródziemnego, ale jest ona stale uzupełniana w wielkich ilościach przez liczne rzeki wpadające do morza Czarnego.

Niezwykle ciekawe są przepływy wód przez cieśniny Bosforu. Występują tam jakby dwie rzeki, płynące w przeciwnym kierunku. Dnem płynie prąd wody słonej z morza Śródziemnego do Czarnego, górą płynie prąd wody napół słonej z morza Czarnego do Śródziemnego. Prąd ten jest bardzo silny i jadąc statkiem przez Bosfor ma się wrażenie, że jedzie się po rzece. O sile tego prądu może świadczyć trudność z jaką nawet dwóch wioślarzy daje sobie radę płynąc łodzią pod prąd. Jest on silniejszy, aniżeli prąd na Wiśle pod Warszawą.

Nie mniej silnym jest prąd głębinowy w przeciwnym kierunku. O sile jego przekonano się już w 1881 roku, kiedy to rosyjski kpt. Makarów (późniejszy znany admirał) zatopił beczkę na lince, której koniec przywiązał do łódki. Dostawszy się do dolnego prądu beczka ciągnęła za sobą łódź w kierunku północnym, mimo, że powierzchniowy prąd znosił ją na południe. Głębokość Bosforu wynosi 40—100 m, a prąd dolny zaczyna się na głębokości 20 m.

Dolny prąd Bosforu opuszczający się to podnoszący, zależnie od konfiguracji dna, wytwarza wiry i niekiedy jest bardzo niebezpieczny dla mniejszych statków, dlatego żegluga w cieśninach uważa się za zdradliwą. Szerokość cieśniny Bosforu w niektórych miejscach jest mniejsza aniżeli Wisły pod Warszawą.

Mimo, że głębiny morza Czarnego pozbawione są życia, górne warstwy wody i miejsca przybrzeżne płytsze roją się od istot żywych, chociaż pod względem fauny, morze Czarne jest naogół ubogie. Użytkowych ryb pojawia się kilkanaście gatunków. Zdarza się dość często spotkać stada delfinów, trafiają się i rekiny mniejszych gatunków.

Bol. K.

ANDRZEJ POROJSC

Najstarsza pieśń o Bałtyku

Sprawa Bałtyku, jak powszechnie wiadomo jest jednym z najwcześniej powstałych i wyodrębnionych elementów składowych sprawy Polski. Nie trzeba już dzisiaj o tym przypominać, że kwestia granicy morskiej, kwestia złączenia całego Pomorza z resztą ziem w dorzeczu Odry i Wisły była kluczowym zagadnieniem zaprzątającym władców Polski od pierwszych lat tworzenia się ich państwa. Są to fakty ogólnie znane, poświęcono im wiele stron w każdym podręczniku historii, nie ma więc potrzeby przypominania ich tutaj raz jeszcze. Istnieje jednak pewien szczegół w tym obrazie, który nie doczekał się dotąd takiego spopularyzowania i nie jest tak powszechnie znany.

Sprawa morska za pierwszych Piastów najczęściej jest traktowana jako zjawisko polityczne, rzadziej gospodarcze, jako kulturalne zaś prawie wyłącznie od strony kontaktów z krajami zamorskimi, przede wszystkim skandynawskimi, lub też od strony badań nad kulturą samego Pomorza. Elementy morskie w obrazie kultury ogólno-polskiej wydają się w pierwszych wiekach jej istnienia co najwyżej nikłe; dopiero poczynając gdzieś od wieku XV dają się zaobserwować wyraźniej, rozrastają się nieco w ciągu następnych stuleci, dzisiaj dopiero dochodząc do pełnego, choć też nie dominującego głosu.

Zjawisko to jest oczywiście zupełnie wytłumaczalne. W państwie, które najwcześniejsze węzły kulturalne zawiązało z południem i zachodem, którego granica morska przez wiele setek lat stanowiła jedynie nieznaczny odcinek całej linii granicznej, lub też w ogóle nie istniała, w państwie, które nigdy nie myślało o zamorskich podbojach, które oprócz kilku krótkich epizodów nie posiadało nawet własnej floty, nie tylko wojennej ale i handlowej, którego mieszkańcy w większości nigdy w życiu nie widzieli idealnie prostej linii morskiego horyzontu — w państwie tym, rzecz jasna, motywy marynistyczne nie mogły wybić się na pierwszy plan w obrazie kultury narodowej. Jak wielki jest wpływ warunków zewnętrznych na układ tego obrazu świadczy wyraźnie dorobek ostatnich trzydziestu lat, w czasie których coraz intensywniejszy rozwój gospodarczych i politycznych zagadnień morskich łącznie z coraz powszechniejszą znajomością morza wśród mieszkańców Polski spowodowały równoległy rozkwit tematyki marynistycznej w dziedzinie artystycznej i naukowej.

Podobny proces miał jednak miejsce także i siedemset lat temu. Walka o wybrzeże i wyprawy nadmorskie rzuciły swój refleks również na obraz ówczesnej kultury. Wprowadziły motyw marynistyczny jako integralną część tego obrazu — i to pojawienie się tego motywu powinno być równie powszechnie znane jak poprzedzające je koncepcje i wydarzenia natury politycznej.

Mam na myśli pieśń rycerstwa polskiego zanotowaną w najstarszej kronice polskiej spisanej przez Galla Anonima. Według słów kronikarza pieśń ta powstała na tle wyprawy Bolesława Krzywoustego na Kołobrzeg w r. 1105 „w której dość przystojnie dzielność ową i odwagę podniesiono w te słowa:

Naszym przodkom wystarczały ryby słone i cuchnące, —
My po świeże przychodzimy w ocean nie pluskające!
Ojcom naszym wystarczało, jeśli grodów dobywali, —
A nas burza nie odstrasza ni szum groźny morskiej fali;
Nasi ojce na jelenia urządzali polowanie, —
A my skarby i potwory łowim skryte w oceanie!"

Tekst powyższy jest tłumaczeniem na język polski z wersji łacińskiej Galla dokonanym przez prof. R. Grodeckiego. Jak brzmiał tekst oryginalny — nie wiemy. Ponieważ Gall zapisał go wierszem, należy przypuszczać, że dla uzyskania łacińskiego rymu i rytmu musiał dokonać być może nawet znacznych zmian. Tym niemniej sens ogólny pozostał zapewne ten sam, a nie ma też podstaw do sądzenia, że cała ta pieśń została wprost przez kronikarza wymyślona, bo mówi on wyraźnie, że „sława Bolesława daleko i szeroko głoszona rozpowszechniała się. Stąd też utarła się powszechnie piosenka ułożona na tym tle".

Treść owych sześciu wierszy jest niezmiernie charakterystyczna. Na pierwszy już rzut oka widać, że stanowią one trzy pary porównań pomiędzy życiem i czynami „ojców" a „synów" — rycerzy Bolesława. Różnica ta leży w ich spotkaniu z morzem, którego „ojcowie" nie znali — i przy tym porównanie to uważają oni za bardzo dla siebie korzystne. Pierwsza zwrotka zestawiając „ryby słone i cuchnące" (a więc solone) ze „świeżymi" wykazuje całkiem oczywiście przewagę „synów" na niezbyt poetycznym, lecz wielce istotnym terenie spraw kulinarnych. Poza tym jednak aspektem kryje się tu jeszcze pewne zagadnienie gospodarcze. Zdobywcy morza chwalą sobie możność bezpośredniego korzystania z rybnych zasobów Bałtyku. w przeciwieństwie do swych przodków, którzy musieli się zadawalać zagranicznym importem. A należy przy tym pamiętać, że w ówczesnych stosunkach aprowizacyjnych ryby stanowiły bardzo poważną pozycję.

Dwie następne pary porównań są ze względu na zawarty w nich aspekt kulturalny jeszcze bardziej zastanawiające. Podniesienie odwagi wobec „burzy" i „szumu groźnego morskiej fali" ponad odwagę wykazywaną przy zdobywaniu grodów dowodzi, jak wielkie wrażenie wywarł na nich wzburzony Bałtyk. Uważają, że jest groźniejszy od uzbrojonego nieprzyjaciela; w nieporadne, lecz lapidarne słowa wkładającały lęk ciągnący od niego. W piosence, która „się utarła powszechnie" roznoszą po całym kraju wieść o groźnym morzu. Zapewne groza ta spotęgowana jest faktem dotychczasowej nieznajomości, faktem pierwszego zetknięcia się; tym nie mniej jednak siła, z jaką została wyrażona rzuca pewne światło na psychikę ówczesnych Polaków.

W trzeciej wreszcie zwrotce z tą samą dumą porównują rycerze Krzywoustego leśne łowy „ojców" z własnymi, urządzanymi na „skarby i potwory" morskie. Ten ustęp wydaje się najbardziej „literacki". Trudno bowiem przypuszczać, żeby w rzeczywistości mieli oni do czynienia z zatopionymi „skarbami", nie mówiąc już o „potworach". Albo więc oba te motywy, bardzo rozpowszechnione na wszystkich wybrzeżach, znali oni już wcześniej z opowiadań, lub też przyjęli je wprost od miejscowych Pomorzan i wpletli do swojej pieśni, albo też nasunęły im się samorzutnie jako obraz groźnej, nieznanej i niedostępnej głębi. Nie jest wreszcie wykluczone, że wprowadził je tu sam Gall, który będąc człowiekiem na owe czasy wykształconym i bywałym znał niewątpliwie analogiczne podania i mógł je uznać za nadające się do upiększenia i uzupełnienia pieśni. Umieszczenie tych słów w ostatnim wierszu stanowi niby pointę całego utworu, który wykazuje stopniowanie porównań — od najsłabszych, pobudzających jedynie zmysł smaku, aż do fantastycznych, nierzeczywistych, tajemniczością swą działających na podnieconą wyobraźnię.

Ta krótka pieśń obrazuje przełom, jakim dla mieszkańców lądowej Polski było zetknięcie się z morzem. Ilustruje nową problematykę, która zaistniała po tym spotkaniu dla ludzi nie uświadamiających sobie być może zagadnień politycznych i gospodarczych związanych z Bałtykiem, ale czujących potrzebę ustalenia swego indywidualnego stosunku do nowo poznanego żywiołu.

Nie była to wprawdzie pierwsza nadmorska wyprawa rycerstwa polskiego. Bywało ono tam już i za Mieszka I i za Chrobrego i za Kazimierza Odnowiciela — przez ostatnie jednak kilkadziesiąt lat poprzedzających podbój Krzywoustego rycerze ci morza nie widzieli — i okres ten okazał się dostatecznie długim dla zerwania wszystkich nici; jedno pokolenie „ojców" wystarczyło, żeby „synowie" od nowa musieli je nawiązywać. Pieśń ich jest więc niejako dowodem konieczności ciągłego współżycia kraju z morzem dla zapobieżenia zanikowi psychicznego kontaktu.

Ponieważ jednak już wcześniej kontakt ten istniał, nasuwa się pytanie, czy i wtenczas nie powstał w jego wyniku jakiś refleks kulturalny, analogiczny do omawianej pieśni. Wykluczone to nie jest. Należy pamiętać, że źródeł wcześniejszych, mogących przekazać nam podobne utwory w ogóle nie mamy. To, że pieśń ta znalazła się w kronice Galla jest również tylko kwestią przypadku. Zawdzięcza to ona jedynie swej treści, która „dość przystojnie" opiewa dzielność wojów Krzywoustego. Cała bowiem nasza pierwsza kronika jest wielkim panegirykiem na cześć tego władcy, dlatego też autor jej notując skrupulatnie wszystkie szczegóły, które mogły rozszerzyć sławę księcia, lub jego rycerzy, zwrócił również uwagę i na tę pieśń. Gdyby w zwrotkach jej był tylko lęk przed morzem, nieprzezwyciężony odwagą — na pewno w ogóle nie znalibyśmy jej dzisiaj. Podobnie więc mógł zaginąć nie jeden taki utwór, którego nikt nie mógł lub nie chciał zapisać.

Tym większa jest wartość zachowanej pieśni. Można ją uważać za reprezentatywny akt kulturalny nie tylko dla czasów Krzywoustego, lecz i dla całej epoki Bolesławowskiej. Tak też pojął ją A. Gołubiew umieszczając ją jako motto na początku swej powieści o Bolesławie Chrobrym. Anachronizm popełniony przez tego pisarza jest tylko formalny; treściowo pieśń ta oddaje w lapidarnym skrócie część tej przemiany, która zaczęła się dokonywać w społeczeństwie polskim już w końcu X w. I dobrze, że widniejąc na pierwszej stronicy „Puszczy", wydobyta wreszcie z mało znanego tekstu szanownej kroniki pieśń ta staje się coraz bardziej spopularyzowana i znana, gdyż spopularyzowana i znana dzisiaj być powinna.

Dr. MARIAN DES LOGES

GDAŃSKI BISKUPIN

Pierwsze stadia realizacji szerokiego planu poszukiwań archeologicznych związanych ze zbliżającym się tysiącleciem istnienia państwa polskiego dają już dziś rewelacyjne wyniki.

Wiemy gdzie znajdował się Gdańsk w pierwszych wiekach istnienia państwa Polskiego i możemy się domyśleć jak wyglądał. Dotąd nie było dokładnie wiadomo, w której dzielnicy szukać należało pierwotnego osiedla i portu o których mówi bulla papieska z r. 1148. Historycy wskazywali albo okolicę dzisiejszej Zielonej Bramy albo też widły Motławy i ujścia Raduni. Trafna intuicja archeologów kazała zacząć poszukiwania w miejscu, które stanowi najwyższe wzniesienie nadbrzeżne w trójkącie między brzegiem Motławy a Radunią.

Przechodzimy most na Raduni, później krętymi ulicami wśród ruin mijamy wypalone mury Poczty Polskej w Gdańsku, pamiętające kohaterską jej obronę z r. 1939, jeszcze parę zakrętów i oto wysoki wykop ziemi poza prowizorycznym ogrodzeniem. Jesteśmy na terenie wykopalisk. Po chwili odszukujemy **prof. Jażdżewskiego**, który po kilku wstępnych objaśnieniach oddaje nas pod opiekę swych asystentów. Sam przygotowuje sprawozdanie z dokonanych prac. Na środku jakiegoś placyku, którego kształt zagubił się w czasie bombardowania miasta, a który z jednej strony ocieniony jest kilku anemicznymi drzewami kwadratowy wykop, głęboki na metr i osiemdziesiąt centymetrów o boku 10-ciu metrów. Dno wypełnia jakby podłoga z belek drewnianych dobrze zachowanych dzięki podskórnej wodzie. Po przekątni kwadratu biegnie wyraźnie odcinający się pas poprzecznie do przekątni ułożonych drewion. To dawna ulica, wówczas „brukowana drzewem" jak nas pouczają asystenci. Po bokach drogi — podłogi domów, bardzo małych, mniejszych niż w Biskupinie. Już wówczas zapewne skarżyli się mieszkańcy grodu na konieczność zagęszczania mieszkańców i ciasnotę. Obszar grodu musiał być ze względów obronnych nieduży i dlatego kubatura mieszkań była widać skąpo dozowana! W głębi wzniesienia z ziemi wyłożone kamieniami. To paleniska.

Na jednym krańcu wykopu widać resztki współczesnych fundamentów. Nie dotarły do poziomu osiedla, nie mniej widać już, że w drugim wykopie znajdą się fundamenty solidniejsze, które ten poziom napewno przebiły. Tuż obok niemiecki schron przeciwlotniczy. **Przy fundamentowaniu tego schronu musiano też natrafić na ślady osiedla. Odkrycie było widać dla Niemców niepożądane i woleli je przemilczać. Zapewne! Cóż zrobić z niewątpliwymi dowodami kultury słowiańskiej na terenie przedstawianym jako odwiecznie niemiecki!**

Przyglądamy się pracy w wykopach. Nad brzegiem rysownik z nadzwyczajną ścisłością sporządza plan wykopu. Na dnie gospodaruje jedna z asystentek. Tu już roboty na razie ukończone. Jedynie po mostkach zaimprowizowanych z rzuconych na belkowanie wąskich desek krąży bezustannie jeden z robotników, obficie i bez przerwy polewając belki. Dla konserwacji. W drugim wykopie kilka kobiet wybiera ziemię. Po aptekarsku. Każdą szufelkę kruszy się w palcach, by nie stracić najmniejszej choćby skorupki, ziarneczka czy łuski! Precyzyjna robota! Znajdują się obecnie jeszcze na jakiś metr ponad poziomem „podłogi" domów czy bruku ulicy, jak mówią nasi przewodnicy na poziomie miasta średniowiecznego, jednak już teraz wymagana jest szczególna czujność i naukowa ścisłość.

Obraz terenu jest niesłychanie interesujący, jednak dopiero pokaz drobiazgów, śladów ówczesnej kultury budzi największy podziw. Chociaż gród został wypalony, o czym świadczą ślady pozostałe na powierzchni „podłogi", zachowało się jeszcze mnóstwo drobnych narzędzi, naczyń, ozdób itp. przedmiotów wyrabianych na miejscu, bądź też importowanych. Tak więc dowiadujemy się, że podłogi izby były częściowo wylepione glinianą polepą, częściowo miały komfortową posadzkę z... kory brzozowej! Mieszkańcy zajmowali się rybołówstwem, uprawą rol, hodowlą, zbierali i spożywali owoce a może nawet mieli za grodem ogrody owocowe? Uprawiali też rzemiosło. Wszystko to wiemy z tych łupinek. W małej budce obok wykopu małe muzeum.

Asystentka przynosi skrzynkę pełną zawiniątek. Po kolei z paczuszek wyłaniają się: pływak do sieci, osełki różnych wymiarów od drobnych, mieszczących się na dłoni do dużej mającej bodaj 40 centymetrów długości. Służyć mogą do dziś, jak na podstawie doświadczenia powiedzieli nam asystenci, w tajemnicy, bo to przecie zabytki. A oto znów jakaś łupinka. Kształt drobnej łódki, z drzewa, nie dłuższa niż 8 do 10 cm. Co to? Asystent przypuszcza, że zabawka dziecinna, łódka, my przypuszczamy, że to czółenko z krosien. Asystent bierze nasze przypuszczenie o dziwo dość poważnie. Rzecz wymaga oczywiście dalszego badania. Oto znów niby grudka ziemi. Lecz przy uważnym obejrzeniu widzimy, że grudka ta składa się z jakichś ziaren, wyraźne widoczne proso. Tak więc przeplatają się dowody na to czym zajmowali się mieszkańcy dawnego Gdańska. Rybołówstwo i rolnictwo. Możemy dowiedzieć się dalej co i czym jedli. Na półce w budce między stosami pakietów leży duża gruda ziemi. Co się okazuje? W ziemi pełno łusek rybich. a w pakietach skorupki i kości zwierzęce. Widać pożywienie było dosyć urozmaicone, mięso zwierzęce, rybie, płody rolne, a tu w jednym z pakiecików łupki z orzecha laskowego a nawet jeszcze jeden nierozłupany owoc. W innych pestki różnych owoców. Ilość kości znalezionych na tak małym wycinku wykopu jest istotnie olbrzymia. Widać niesłusznie pomstujemy dziś na często niepopularne ZOM-y. W tamtych czasach nikt nie zatroszczył się o usunięcie odpadków, dzięki czemu dziś możemy odtworzyć sobie menu gdańszczanina z XII w.

Nie myślmy jednak, że życie osiedla poprzestawało na poziomie zupełnego prymitywu. Słowianin tamtych czasów odczuwa potrzebę piękna i zdobi zarówno swój strój jak i sprzęty którymi się posługuje. świadczą o tym pieczołowicie zbierane skorupki naczyń glinianych, których ozdoby od dawna stały się w archeologii legitymacją i znakiem rozpoznawczym dla różnych kultur dawnych czasów. Tak cały typ osiedla, jak i te ozdoby dowodzą bez żadnych wątpliwości, że osada ta była słowiańską i polską. Dowodzi tego też drobne, na pół połamane kółko, dziś czarne, ale jak przypuszczają nasi przewodnicy srebrne, które zdobiło skronie ówczesnych pięknis grodu. Świadczą o tym liczne grzebienie, niezwykle misternie wykonane z rogu, o różnej gęstości, spajane rogowymi nitami zdobioną rameczką z rogu. Do dziś zachowane w stanie gotowym do użytku. Wieszadłem był róg jeleni, odpowiednio nacinany.

Polacy owych czasów słynęli z wyrobu świetnego obuwia ze skóry. W jednej z chat znaleziono zwitek skór, wielkości paczki papierosów. Jedna z nich, dziś czarna, zachowana doskonale, przekonuje o delikatności i jakości pracy ówczesnych garbarzy, a nasuwa przypuszczenie, że mieszkaniec tej chaty poza rybołówstwem czy rolnictwem trudnił się może i szewstwem czy rymarstwem, stanowąc jednego z protoplastów Kilińskiego i dzisiejszych świetnych szewców warszawskich. Rzemiosłem związanym z terenem była obróbka bursztynów. Znaleziono ich sporo w stanie nieobrobionym, lub w postaci misternie wykonanych paciorków. Są i krzyżyki, albo ozdoby jeszcze niewykończone. Mamy wreszcie i coś z dziedziny sportu, czy skromnych środków komunikacyjnych: łyż wy... z kości. Zachowała się ich para. Dziury wytoczone na obu końcach i wyślizgany spod rozwiewają wszelkie wątpliwości o charakterze tych „narzędzi".

Ilość znalezisk z tak małego terenu jest stotnie imponująca, archeologowie zacierają ręce, grzebią, zapisują, inwentaryzują i cieszą się, że pod pewnymi względami wykopaliska gdańskie są ciekawsze i bogatsze od biskupińskich. Właśnie w ilości znalezisk. A to dopiero pierwsze kroki, pierwszy sezon prac wykopaliskowych. To też obiecujemy sobie jeszcze o wiele więcej rewelacji, przede wszystkim dokopania się do osiedla dawniejszego, i rozwiązania pytania, gdzie znajdował się Gdańsk z czasów św. Wojciecha. Bo to największa zagadka w historii tego miasta, zagadka, którą postawił przepływający w owych czasach tymi szlakim kupiec angielski Wulfstam. Płynąc do okolic dzisiejszego Elbląga nie zauważył Gdańska? Na to pytanie oczekiwać będziemy odpowiedzi od archeologów.

EDWIN JĘDRKIEWICZ

IGRY

Dramat w 3 aktach

OSOBY DRAMATU

Konrad Leczkow, Arnold Hecht, Tideman Hukser — burmistrze gdańscy

Bartłomiej Gross, Klenemeister — rajcy

Anna żona Grossa, córka Leczkowa

Henryk von Plauen, komtur krzyżacki w Gdańsku

Hans, błazen komtura

Katarzyna, gospodyni Grossów

Truda, węglarka

Wit, pachoł miejski

Cieśla, Rzeźnik, Płatnerz, Szewc, Szewczycha, Mieszczanin, Kupczycha, Rybak, Dziewczyna, Żebrak, Tłum gdański — Gdańszczanie

Knechty krzyżackie z załogi zamku

Rzecz dzieje się w Gdańsku w kwietniu r. 1411, między 6 a 13 (niedzielą wielkanocną)

A K T I

(fragment)

Gotycka izba w domu Grossa. Na wprost wejście z sieni, po prawej, tuż przed rampą, drzwi do dalszych izb. Otwierają się one od strony widowni ku pierwszej izbie tak, że otwarte zasłaniają znajdujący się tuż za nimi komin z ogromnym okapem. W izbie Anna szyjąca: 5-letni Kurt bawi się na podłodze)

Katarzyna (wbiega zdyszana, od drzwi)

Wszystkie gadają, że tak! Piotr i ten kulawy od rzeźnika a Gerhart sam widział, jak do kościoła szli z komturem zgodę sobie poprzysięgać!

Anna

Kiedy? Kiedy szli?!

Katarzyna

Teraz, niedawno! W sam raz, jak na południe dzwonili! Uładzili już, powiadał, na ratuszu wszystko i do kościoła z komturem szli! Pono sam wielki mistrz mu tak kazali, temu zbójowi **(urwała zatykając sobie ze strachem usta i oglądając się; ciszej)** — — że mu sam wielki mistrz —

Anna (klasnęła radośnie w ręce, porwała na ręce Kurta). — **Sam wielki mistrz, słyszysz, Kurtuś? To już się nie będziem frasowali, jak tatuś długo nie wraca z ratusza!**

Katarzyna

Ja sobie zawsze ino myślała: żeby nas ino krzyżalce nie wyrżnęły, jak na onym Dominku — co babka gadała —

Anna (postawiła Kurta na ziemi)

Już nie bajdurz, Katarzyno, nie bajdurz! I przy dziecku! Będzie mi się po tym po nocy strachał! Z tą twoją babką i Dominkiem!

Katarzyna (obrażona)

Sam pan nasz gadali, że w sam raz sto lat temu!

Anna

No to co? To ciągle przypominać? Jak by mało było strachania teraz, od łońskiego lata! Wciąż i wciąż na nowo! Raz trza zacząć dychać, jak kiedyś dawniej, jakoś się w sobie zebrać, nie dać się tak, robić coś, żeby inaczej już...! Nie bój się — jak się pan ojciec do tego wzięli — i nasz pan — to będzie tak! Już — —

(Przerywa jej:)

Krzyk (przeraźliwy na ulicy)

Ubili...! Ubili!

Katarzyna (rzuca się do okna, otwiera)

Anna (za nią)

Głosy z ulicy

Knechty....! Leży we krwi...!

Głos kobiecy (zawodzący w szlochaniu)

Jezusie, Maryjo!

(Tupot przebiegających ulicą)

Katarzyna (wybiegając)

Lecę posłuchać...!

Anna (przez chwilę znieruchomiała, porywa Kurta na ręce, przyciska do piersi)

Katarzyna (wraca. Z ponurą satysfakcją)

A co, ja nie gadała? Klaus prawi, że zamkowe knechty kogoś ubiły! Nad Radunią!

Anna

Jakże to...? Do kościoła poszli a tam knechty...?

Gross (wchodzi prędko, rozjaśniony)

No Anno — już!

Anna (chmurna, niepewna)

Co — już?

Gross

Nie słyszałaś to? Ugoda z komturem! Poprzysiągł ją przed ołtarzem! I my też! Chwałaż ci Boże! To i Zmartwychwstanie będziem święcili w pokoju. A... co ty...? Co tobie?

Anna (popędliwie)

Przed ołtarzem! A tam teraz knechty zamkowe kogoś ubiły!

Gross (zaniepokojony)

Kiedy, gdzie? Skąd wiesz...?

Anna

Krzyczeli na ulicy!

Katarzyna

I Klaus gadał i...

Katarzyna

Ale kogo, kogo, gdzie?

Gross

Nad Radunią gdzieś. A kogo, to ja tam nie wiem, ale —

Gross (usiłuje zlekceważyć)

Że krzyczeli! Mało wiele to ludzie po próżnicy plotą? A zresztą choćby, to może jaka bijatyka zwyczajna albo po pijanemu.

Anna (postawiła dziecko na ziemi, skwapliwie, z ulgą)

To naprawdę poprzysiągł? Przed ołtarzem poprzysiągł...? I co...? I jak...?

Gross

No jakże! Wszystko ci sprawiedliwie rozpowiem, jak ino wrócę. Bom teraz wpadł, by ci o tej ugodzie rzec. A mnie na ratusz jeszcze trza — wołali przez Kunca.

Anna (z gniewnym żalem)

Jeszcze! I mus ci tam?

Gross (łagodnie ale stanowczo)

Mus, mus. Ojciec na radę wołali.

Anna

Ojciec? To idź, idź! I coś mądrze tam uradźcie, żeby było wszystko dobrze!

Gross (z uśmiechem, wychodząc)

Uradzim, uradzim. Bywaj, Anno. **(Wychodzi, ale w drzwiach zawahał się)** To gadają, że ubiły knechty...? Że ubiły kogoś...?

Anna (już pełna optymizmu)

Może i gadanie ino takie... Pewnikiem gadanie!

Gross

Z muchy wołu robią ludzie — No, śpieszę ja.

Anna (podbiega do niego. Bez słowa przyciska serdecznie jego rękę do serca)

Gross (równie milcząco i niemal ukradkiem przyciska Annę do piersi. Wychodzi).

Anna (nachmurzyła się)

Jak na ratuszu głowić się trza, wtedy on dobry. Ino jak burmistrzów wybierają, to inni wraz na przodku!

Katarzyna

A bez co tak? Bo nasz pan wtedy w kącie przysiędzie! A jak kto do miski sam nie sięga, to mu i z łykaniem mitręga. A tamci się pchają jak gęsi do koryta!

Anna (z lekkim żalem)

Juści. Sam nie chce. **(dzielnie).** A no: nie chce, to nie.

Katarzyna (ostrożnie a chytrze)

Jakby wam, pani, była taka wola, to by i naszemu panu skorzej przyszła ochota — — Jak się białka naprze, to i najkrzepszy chłop nie zdzierży — —

Anna (porywczo)

Nie taka ja, bym mu się napierała! Jak ten robak utrapiony w uszach skwierczała!

Katarzyna

A sprawiedliwie to, że ta młódka, co ją niedawno burmistrz Hukser pojął przed wami się, pani, przed główny ołtarz w kościele pcha? Bo ona burmistrzycha! A służka od burmistrza Hechta to przede mną dziś paluchy do kropielnicy tkała — bo ona burmistrzowa służka!

(Słychać kołatkę do bramy)

Anna

Kołacze ktoś. Idź otwórz.

Katarzyna (wychodzi. Po chwili wraca. Przed nią:)

Hukser (kończy do Katarzyny)

Boga-ć tam ubili! Zaraz: ubili, hy Krzynę mu czerep poskrobali — dobre południe, pani Anno.

Anna

Dobre i wam południe, panie burmistrzu. To bajanie, bajenie ino, że knechty ubiły...?

Hukser (skrzywił się lekceważąco)

Iii... szkoda gadać. Po co w komturowego psa kamieniem rzucał? Za tę rybę, cu mu suka porwała? Opłaci mu się to? Wiadomo, że komtur za tą swoją Lianorą bardziej niż inszy za białką i dzieckiem.

Katarzyna (ze zgrozą)

Lianora się wabi to diabelskie nasienie — w imię Ojca i Syna! — Gadają ludzie, że nie pies to, ino sam Zły!

Hukser

A nie zawadzi, nie zawadzi, że szewczykowi juchy upuściły knechty. I niech tam pospólstwo na własnej skórze poczuje tych swoich opiekunów nowych. Toć to przecie z nimi się wielki mistrz chce kumać przeciw nam, panom Radzie.

Anna (chmurna)

A ludzkiej krwi i męki nie żal—?

Hukser

Jeszcze tej krwi ostanie dość. Kumotra Leczkowa, słyszę, nie ma? I waszego też? I że byli i poszli jeszcze raz? I na ratusz znowu? Hm... **(podejrzliwie)** Cóż to za nagła taka sprawa?

Anna

Nie mówił Bartel, bo mu okrutnie śpiesz no było.

Hukser

I tak mu śpieszno? Hm... A ja nie wiem nic, mnie nikt nie wołał na ratusz hm, niedobrze to tak, niedobrze — To nie wiecie, nic nie wiecie, po co poszedł?

Anna (impetycznie)

Jakbyście, panie burmistrzu pośpieli, to ich jeszcze na ratuszu zdybiecie. To wraz się dowiecie, jaka sprawa.

Hukser (łagodząco)

Hm... takaście w gorącej wodzie kąpana. Od maleńkości już, pomnę, pomnę. Kiedy wiecie, utrudzon-em srodze. Stare kości, hm... stare.

Anna

A no, jak wam wola, panie burmistrzu. Nie radziście iść, to se siądźcie i poczekajcie. Do pana ojca wam pilniej, czy do Bartla?

Hukser

Hm... do obu, juści, że do obu. Choć tam po prawdzie, to wasz ma dla takich spraw jak moja, mniej ucha niż kumotr Leczkow. Wasz to tak... letko się ziemi trzyma —

Anna (już gotowa się nasrożyć)

Dla mnie starczy i tyle. W sam raz starczy.

Hukser

Hym... Toć ino gadam tak. Przecie wiem, że Gross głowę ma, oho, ma — Aha, com to chciał rzec: prawda — li to, pani Anno, że ten wieprz, coście go wczoraj bili, w brzuchu złoty pierścień miał?

Anna (z dziecinną pychą)

A prawda, prawda!

Hukser (zawistnie)

Patrzajcież się: złoty pierścień w brzuchu wieprza!

Katarzyna (wtrąca się)

Gadała Eta, że to okrutnie dobra wróżba — no nie, panie burmistrzu?

Hukser

Jak złoto do mieszka przychodzi, to zawsze dobry znak.

Katarzyna

O! Widzicie, pani, widzicie! Sam pan burmistrz mówi —.

Anna (niby to bagatelizująca)

Et...! Bartel mówią, że Pan Bóg i Pan Jezus nie w świńskich flakach swą wolę najświętszą okazują.

Hukser (z przekąsem)

Tak mówi? No — no — Pokazalibyście mi też ten pierścień i tego wieprza.

Anna (niechętnie)

A no, jak wam ochota — to się pokwapcie do komory.

(Wychodzą z Katarzyną i z dzieckiem. Przez chwilę ciszy słychać dzwon kościelny.)

(Drzwi na wprost uchylają się i ostrożnie wsuwa się przez szparę głową Hansa, w ciemnym kapturze i opończy).

Hans (rozglądnął się po izbie, widząc, że nikogo nie ma, wchodzi skradająco się, płochliwy na każdy szelest, niezdecydowany. Zobaczył na stole torebkę Anny. Podchodzi do niej nieśmiało, jak świętość, bierze w ręce. Po tym, przypominając sobie nagle odkłada, rozgląda się znów niezdecydowany, podchodzi do drzwi po prawej, nasłuchuje przy nich. Niespodziany głos Huksera tuż za drzwiami wprawia go w popłoch. Rozgląda się, gdzie się ukryć a ponieważ nie ma na to czasu, bo ręka Huksera uchyla już drzwi, wlazi do komina).

Hukser (stoi chwilę w drzwiach, z irytacją).

Waszemu to żaden znak? Mądrala-ż on okrutny, mądrala —

Anna (nasrożyła się).

Hukser

A może w sam raz znak? Że, na ten przykład, **(badawczo)** burmistrzem go Rada wybierze?

Anna (odęta)

Tyle on o burmistrzowanie dba, co o zeszłoroczny śnieg.

Hukser (ze złym przekąsem).

Patrzajcież, nie dba... Za nic mu tak burmistrzowanie, patrzajcież. — Aż dziwno, że choć w Radzie siedzieć raczy —

Anna (już gotowa do wybuchu).

Hukser (wiązać to, pojednawczo).

No, nic. Dla śmiechu ot tak gadam. — A kumotra Leczkowa ciągle nie widać... I waszego. Chyba pójdę ku ratuszowi — Jak ich nie zdybię, zaglądnę tu jeszcze. Bywajcie.

Anna

A idźcie z Bogiem.

Hukser (wychodzi).

Anna (stoi chwilę zamyślona. Po tym rusza ku drzwiom na prawo. Gdy do nich dochodzi, zatrzymuje ją szmer w kominie. Anna słucha trochę przestraszona, ale gdy szmer się powtórzył, podchodzi energicznie do komina i — zwrócona tyłem do widowni — pochyla się zaglądając doń. W tej chwili łoskot — na izbę bucha z komina chmura sadzy, Anna odruchowo odskakuje w tył z cichym krzykiem. Z komina wyłazi):

Hans (osmarowany na czarno).

Anna (dzielnie)

Co to....? Kto ty...?

Hans (bełkoce gorączkowo, błagalnie).

Nie strachajcie się, pani...! to ja, Hans... Komturowy skomoroch... ja! Miałem... miałem wam coś okrutnie ważnego rzec... tom się wkradł — brama w sam raz otwarta była — i tu, żeby wam rzec... a tu słyszę obcy głos tamtego.... burmistrza za drzwiami — już drzwi otwierał...! Nie miałem się już gdzie skryć, tom do komina — — Bo... bo nie trza, żeby mnie tu widzieli... tom do komina — — A ja mam ważnego wam coś rzec —

Anna (ciągle tyłem do widowni odwrócona, gniewnie).

Co ważnego? Gadaj po ludzku!

Hans

Nie trza, żeby mnie widzieli tu — bo by mi jeszcze o głowę mogło przyjść a może i lepiej... dla was, żeby nie — .

Anna (j.w.)

A co: dla nas?

Hans (już spokojniej)

A no... jeszcze tam pomyślą... w Radzie, że wasz jakie ukrywane sprawy z komturem ma — Także by niedobrze było —

Anna (aż w ręce klasnęła ze zdumienia).

Ukrywane sprawy z komturem — mój...!

Hans

Pani, pani! Młoda wy — przebaczcie — jeszcze bardzo, to i nie wiecie, co — tam! wszystko...! **(gestem rąk ilustruje: zdrady, krętactwa, poplątanie wszelkich spraw).**

Anna (nieufnie)

A jak po jasnym dniu tak do domu włazisz, to myślisz, że cię nie widzą?

Hans

Ja wiem, pani, że nie dobrze to, wiem... Ino — com-m czynić miał...? **(bardzo nieśmiało chce strzepnąć sadzę z jej rękawa)** Sadzą was, pani, z komina obsypało —

Anna (dziecinnie gniewnym ruchem usuwa mu swe ramię).

Hans (milknie na mgnienie, spuszcza głowę. Znów gorączkowo).

To.. to... com czynić miał...? Mus był, żeby wam to dziś rzec.... więc-em opończę na łeb i idę... myszkuję w ulicy a tu... jak w sam raz brama wasza otwarta — ej, nie zostawiajcie, pani, bramy otwartej w tych czasach! Dobrze, że dziś, że tak dla mnie... ale nie trza tak!

Katarzyna (wchodzi z prawej).

Anna (obraca się na ten głos. Twarz ma całą osmoloną)

Katarzyna (staje jak wryta na ten widok i widok błazna).

Anna (niecierpliwie).

Cóż się tak, patrzysz, Katarzyno.

Katarzyna (naprzód ze zgrozą, po tym ze śmiechem).

Wszelki duch...! A toć to... Hans i... wy, pani...! Toć myślałam, że Truda węglarka! Gdzieście się, pani, tak usmolili — — ?!

Anna chwyta prędko lusterko. Fuka gniewnie).

Ach, to jest...! **(nagle parska sama śmiechem).**

Katarzyna

Nic, ino w sam raz Truda!

Hans (ze złością).

Jaka zaś Truda?

Katarzyna.

Toć Truda węglarka! Całe miasto ją zna! Tyle że Truda wpół zgarbiona, a wy, pani, jak młoda sosna. Ino, gdzie wy tak — —?

Anna (przerywa ucinająco, niecierpliwie).

Z komina buchnęło tak. Trza sadzę wymieść. **(Fuka zadąsana do Hansa).** Nie patrz się! **(chce wybiec na prawo).**

Hans (błagalnie i desperacko).

Pani, nie uciekajcie, jak wam muszę rzec! Nie ma czasu do stracenia! Mnie tu nie może zdybać nikt...! To o... waszego człowieka i o waszego ojca!

Anna (z niepokojem)

Gadaj.

Hans (ze spojrzeniem na Katarzynę).

Ale tylko wam, pani —

Anna (gniewnie i nieufnie).

Idź Katarzyno.

Katarzyna (ociągając się wychodzi i mruczy do siebie).

Teraz mu wadzę. A jak się do miski pchał, tom była dobra **(wychodzi).**

Anna.

No!

Hans (ściszając głos)

Pani... teraz słyszałem, że komtur zaprasza na jutro wszystkich trzech burmistrzów i waszego! Na zamek. Uczta — niby że się ugodzili... Pani... (przerwał posępnie) niech oni lepiej nie idą — —

Anna (nieufnie)

Czemu?

Hans (milczy, patrzy w ziemię. Po chwili)

Niech oni lepiej nie idą — Nie puście wy waszego.

Anna (j. w.)

Mojego ino? A pan ojciec mają iść?

Hans (poprawia się prędko, z nieszczerą gorliwością)

No też...! Pan ojciec wasz także! W prędkości mi się tak wypsło o waszym ino — Niech nie idą! **(chytrze).** A niech tamtym burmistrzom nic gadają nic. Tamci niech se idą obaj! Co wam o tamtych!

Anna

Przecie ugodę z Radą komtur poprzysiągł. W kościele!

Hans (ruszył ramionami)

Ugodę...

Anna

Gadaj wyraźnie! co wiesz?

Hans

Wyraźnie — Wyraźnie to nie wiem nic ale... jakoś mi tak jest, że lepiej by, by oni nie poszli... Bo tak — to niby nic — zwyczajnie: szafarz rybakom kazał ryby przynieść i wieprza kazał bić i kuchty cebry i misy gotują. I w kościele ugoda —

Anna

No! To cóż gadasz?

Hans

Bo mnie ino jakby cięgiem ktoś w ucho kładł: idź, powiedz, niech oni nie idą!

Anna (nieufnie)

A ciebie tu kto nie posłał ze zdradą? Nie łżesz? Nie knujesz co sam?

Hans (błagalnie)

Pani...! Toć wy mi głowę ocalili, wy i wasz człowiek! Żeście mi w tym domu skryć się pozwolili wtedy, po grunwaldzkim boju, gdym do waszej bramy z rozbitym łbem dopadł! Kowale mnie gonili i rzeźniki gdańskie — byliby ze mnie (wzdrygnął się) taką miazgę zrobili jak z rycerza Fulka i brata Dytrycha — tego, co szpitalnikiem przódzi był — Widziałem sam — tam! — na Ogarnej. I tylko wy, żeście mnie nie wygnali, jak-em tu wpadł... pomnicie to? Wieczerzać wtedy w sam raz-eście siadali i powiedział wasz — pomnę — powiedział: Anno — do was niby, pani, — Anno, powiedział, to także człowiek — I, powiedział, Anno, co on zawinił? A my przecie powiedział, krześcijany — Bo (nieśmiało) boście mi pani byli z pochmurna... (skwapliwie). Z początku ino, krzynę z początku, boście mi potym sama dryjakwie na łeb rozbity kładli — (z okrutnym żalem) A teraz gadacie, czy ja nie ze zdradą——?

Anna (chmurnie ale miękcej)

A kto cię tam wie —

Hans (z goryczą)

Juści... Zawołoka ja... Spod karczemnej ławy... Wagant. I święta ziemia dla mnie, gadają, za dobra... Ino (namiętnie) wasz by tak teraz nie powiedział, jak teraz wy — że ja ze zdradą! Wasz — nie! On się i we mnie dopatrzył ludzkiego stworzenia! I jak z ludzkim stworzeniem gadał, co duszę ma, nie jak z psem ani z wagancki pomietłem. I księgi łacińskie ze sobą czytać pozwolił i —

Anna (j. w.)

Ii, nie gadaj już. Przecie-m ci nie rzekła nic — I — Bóg zapłać, jeśliś prawy — Ino sam gadasz, że na zamku do uczty wszystko przyładzają — I że pewnikiem nie wiesz nic — ?

Hans (z desperacją)

Pewnikiem! Pewnikiem! Dużo to człek wie pewnikiem. I głowi się czy tak, czy może lepiej inak, by tylko nie wpaść w jaki wilczy dół, by tylko się na niego z nagła jakie drzewo nie zwaliło, jaki kamień na łeb nie spadł. Często to wie pewnikiem, co mu czynić trza?

Anna (z gniewnym oburzeniem)

Nie grzeszyłbyś takim gadaniem!

Hans (z bezradną, mimowolną ironią)

Ano tak — — Juści: grzeszę, grzeszę... Zawdy grzeszę...

Anna

Pewno se myślisz, że każdy taki strachajło, jak ty! Mój ta nie taki! A pan ojciec — no!

Hans (popatrzył na nią dziwnie, zmieszał się, zająknął).

Ju... juści... Wasz nie taki —

Toć pani, wiem, wszyscy wiedzą —

Anna (nagle zaperzona)

A nie taki! Nie wiesz, jak to z panem ojcem pędzili precz do zamku komtura, jak wieży nam podle Dominikanów nie chciał zwolić budować?!

Hans (łagodnie)

Toć pani, wiem, wszyscy wiedzą — (gorzko) I gadacie, że ja ino taki zającem podszyty... A no może i tak — Ino, jakbyście wy to wszystko, co ja (urwał, machnął ręką) E, co tam —

Anna (z półdziecinną chełpliwością)

A co ty tam wiesz, jakie tam sprawy panów Rady! I gdzie im iść a gdzie nie iść i jak im z komturem trza?

Hans (zgnębiony, zapadły w siebie)

A no nie wiem, nic nie wiem — — (nagle) A wy, pani, waszych i tak lepiej do komtura nie puśćcie! (błagalnie) I nie gadajcie ino na Boga nic, żem tu był! I Katarzynie nakażcie! Komtur by mnie—! (wzdrygnął się z lęku) Iść mi już trza. Ostańcie pod boską opieką! (wybiega). W progu jeszcze przystanął, obejrzał się, jakby chciał coś powiedzieć. Nie powiedział. Wybiegł).

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

O Janie Heweliuszu — gdańskim astronomie

Historia życia Heweliusza jest jedną z tych, które dają świadectwo zbliżenia się świata gdańskich mieszczan ze światem polskim nie tylko w dziedzinie czysto handlowych stosunków, ale także na polu kulturalnym. Mówią o miłości i przywiązaniu do Polski i jej władców.

Ród Heweliusza pochodził z nad Łaby, choć w Gdańsku osiadły był już oddawna. Przodkowie naszego astronoma byli ludźmi obrotnymi i zapobiegliwymi, a bogacący się Gdańsk sprzyjał kupieckiemu i rzemieślniczemu zawodowi. To też już około 1550 roku kiedy w Gdańsku rozwinął się na dużą skalę eksport piwa, 6 browarów spośród 280, jakie były w tym mieście, należało do rodziny Havelków, Hevelków, Hafelcków, Häfelków, czy jak kto woli Hofelków, gdyż różnie pisało się ich nazwisko.

Ojciec astronoma Abraham, zamożny gdański piwowar, nie myślał o sławie naukowej syna, a tym bardziej nie życzył sobie, aby Jan zajmował się astronomią i został „kalendermacherem".

Jako młodego chłopca wysyła go do Gądecza pod Bydgoszczą, aby nauczył się dobrze języka polskiego, którego umiejętność była konieczną w ożywionych stosunkach handlowych polsko-gdańskich. Wraca stamtąd Jan mając lat 16 i wstępuje do Gdańskiego Akademickiego Gimnazjum, gdzie słucha wykładów teologii, matematyki, metafizyki, polityki, grecki i łacińskich klasyków. Tu w gdańskim gimnazjum zainteresował się zdolnym młodzieńcem profesor Piotr Krüger, który udzielał mu poza wykładami szkolnymi także prywatnych lekcji. Piotr Krüger zachęca go do studiów astronomicznych i Heweliusz pod jego kierunkiem uczy się, poza teorią i obserwacjami nieba, budowy astronomicznych przyrządów, miedziorytnictwa i szlifowania soczewek.

Za namową rodziców, którzy pragną syna skierować ku bardziej intratnym zawodom, wyjeżdża Heweliusz w roku 1630 jako dziewiętnastoletni młodzieniec do Lejdy na studia prawnicze. Nie długo jednak tam zabawił. Już po roku opuszcza uniwersytet, wyjeżdża do Anglii, Francji, odwiedza Włochy, aby po dwuletnim pobycie zagranicą, podczas którego zapoznał się z wybitnymi przedstawicielami nauki, wrócić przez Szwajcarię i Niemcy do Gdańska.

Tu żeni się z Katarzyną Rebeszke, córką bogatego gdańskiego kupca, a przyjęty do cechu browarników poświęca się zawodowi piwowara.

I możeby porzucił swe astronomiczne zainteresowania Heweliusz, gdyby nie Piotr Krüger. Oto umierający profesor zachęca go do kontynuowania studiów, uzyskując przyrzeczenie, że Heweliusz zaobserwuje mające w krótkim czasie mieć miejsce zaćmienie słońca. Jan wypełnia przyrzeczenie i od tej chwili opanowany żądzą poznania maszynerii nieba, całą resztę życia poświęci astronomicznym badaniom.

Z wielkim nakładem pracy i pieniędzy buduje sam teleskopy, przyrządy miernicze, cały szereg niezbędnych instrumentów, aż wreszcie w roku 1641 kończy swe obserwatorium. Obserwatorium to zbudowane na dachach jego trzech sąsiadujących domów, zaopatrzone w teleskopy (z których największy posiadał długość 48 mtr. i dla swej wielkości montowany był za miastem), nazywa za przykładem Tycho de Brache'a „Stellaeburgum".

Obiektem zainteresowania Heweliusza staje się w pierwszym rzędzie księżyc. Po żmudnych obserwacjach ukazuje się jego znakomite na ówczesne czasy dzieło „Selenographia" wraz z mapą księżyca i dokładnym opisem. Następnym tematem badań są plamy słoneczne. Nie ogranicza się przy tym Heweliusz do zaobserwowania ich i opisania, ale wysnuwa własną swą teorię o pochodzeniu słonecznych plam, podobnie jak wysnuwa swą własną teorię na temat powstawania komet, które jego zdaniem są zbiorowiskiem wyziewów różnych planet.

Pracami swymi wzbudza szczere zainteresowanie nie tylko wśród Gdańszczan, którzy początkowo wybierają go ławnikiem, potem konsulem, nie tylko u uczonych zachodu, z którymi ale przede wszystkim u królów Polski. Na chwałę Władysława IV, pięć przez siebie odkrytych księżyców Jowisza nazwie Heweliusz Stellae-Vladislavianae (odkryje je w cztery miesiące później pater Antoni Maria z Rheity i nazwie Stellae-Urbanae, na cześć papieża), a jak się dowiadujemy z listu Piotra des Noyers posłał kiedyś Heweliusz królowi „instrument za pomocą którego można było widzieć to, co się za murami na dole w rowie dzieje". (Polemoskop).

W 1660 roku król Jan Kazimierz ze swą małżonką odwiedzili po powrocie z Oliwy Heweliusza i, jak podają źródła, król przebywał w jego domu długi czas oglądając piękne astronomiczne przyrządy, dokładniejsze i lepsze niż Tycho de Brache'a. Ponieważ niebo było zachmurzone nie mógł król skorzystać z Heweliuszowego teleskopu złożonego z 7-u szkieł i bardzo grubego. Astronom przeprowadzał króla przez wiele gabinetów z przyrządami, a królowa w tym czasie została wraz z damami w jednym z pokojów, gdzie były inne godne podziwu rzeczy, bowiem tamte już uprzednio widziała. Podczas królewskiej wizyty Heweliusz obdarzył króla wynalezionym przez siebie zegarem wahadłowym (za właściwego dzi Huyghens, który nieco wcześniej opublikował wynalazek).

Największym jednak łaskawcą gdańskiego astronoma był Jan III Sobieski. Król ten żywo interesuje się pracami gdańskiego astronoma, odwiedza go w jego obserwatorium w r. 1667 wraz z królową i całym dworem i w tymże roku wyznacza Heweliuszowi stałą roczną pensję w wysokości 1.000 złp., pondto uwalniając naszego piwowara-astronoma od wszelkich podatków i opłat z tytułu wyrobu i sprzedaży piwa zarówno w samym mieście jak i poza miastem.

Heweliusz przeżywa teraz okres swego największego powodzenia życiowego. Królewskie Towarzystwo Naukowe przyjmuje go w poczet swoich członków, Ludwik XIV za pośrednictwem Colberta przesyła mu pieniężne dary.

Najznakomitsi uczeni świata wyrażają się z podziwem i uznaniem o pracach gdańszczanina, interesuje się nim

JERZY SZELIGA

TRZY SPOTKANIA Z POLSKĄ

Wszyscy ludzie znający się nieco na statkach, twierdzili zgodnie, że brzuchaty Sir Donald Malbright nie zrobił dobrego interesu kupując z demobilu tą pływającą trumnę „Elsy Maud". Nawet Phillips, który przez całe życie pływał na obskurnych trampach, po wejściu na pokład frachtowca orzekł, że takiego grata jeszcze nie widział. Gdy dowiedział się, że „Elsy Maud" podczas wojny pływała w konwojach i przeżyła kilka groźnych ataków lotniczych, parsknął tak soczystym śmiechem, że aż opluł stojącego przy nim Henryka.

— A na co ataki bombowe? — rechotał — Przecież wystarczy większa huśtawka, by ta skrzynia poczęła pić wodę jak kalosz!

Po tym przez bite pół godziny kpił niemiłosiernie ze statku, a w końcu poszedł do biura przy Elsabethstreet i podpisał kontrakt z armatorem. Tłusty sir Donald nie ryzykował wiele. Zaangażował Phillipsa, a razem z nim Henryka i polecił im stawić się u kapitana. Wieczorem byli już u niego. Śpieszyło im się bardzo, bo Phillips przegrał wczoraj ostatniego suwerena, a Henryk w ogóle już zapomniał jak wyglądają pieniądze. Od chwili zdemobilizowania włóczył się po londyńskiej metropolii bez grosza w kieszeni, wiecznie głodny i zły.

Oczywiście o powrocie do Polski nie było mowy. Do czego miał wracać? Do tych gruzów? Do nędzy? Pamięta jeszcze ten artykuł z „Timesa" przeczytany na ławce w Hyde Parku. Nie ma głupich! Pojedzie i będzie kamienie gryzł albo w więzieniu siedział!

I w Anglii da sobie chyba radę. Nie napróżno przez cztery lata nastawiał łba na wszystkich morzach! Jeszcze do dzisiaj w deszczowe dni przypomina mu o sobie ten przestrzał, otrzymany jesienią pod Scapa Flow. Płynęli wtedy z ładunkiem syntetycznej benzyny, gdy ostrzelały ich grasujące nad Atlantykiem Junkersy. Henryk wylazł z mesy i dostał w udo. A potym przybyło mu jeszcze kilka dziur. Dostał w Kanale i koło Norwegii i pod Skagerrak, gdzie zatonął piękny frachtowiec, na którym pływał przez 14 miesięcy. Ma nawet Henryk „Military Cross", ale całe nieszczęście, że nie może go ugryźć. Po zdemobilizowaniu chciał go sprzedać, lecz jakoś nie mógł znaleźć amatora. Jeden antykwariusz przy Picadilly spytał go, czy nie ma czegoś bardziej atrakcyjnego, na przykład „Eisernes Kreuz" ale rychło pożałował tego, bo Henryk począł kląć i grozić zdemolowaniem sklepu. Bardzo przestraszył się antykwariusz i zaczął Sochę przepraszać, twierdząc, że nie wiedział iż ma do czynienia z Polakiem. Nawet chciał już kupić to nieszczęsne odznaczenie, ale Henryk splunął i wyszedł.

— Nie sprzedam! — warknął — Zdechnę z głodu a nie sprzedam!

Byli w Londynie jacyś Polacy, ale i u nich nic nie wskórał. Podczas wojny pływał na brytyjskich statkach, więc kazali mu zwrócić się do Anglików. Przez kilka dni wałęsał się po rozmaitych urzędach i komitetach, a w końcu poszedł spać na dworzec. I marnie byłoby z Henrykiem gdyby nie Phillips. Porządny był chłop, tylko karciarz i za to, że przegrał w pokera gażę dwóch podwładnych, wyrzucono go z floty. Tak samo jak i Henryk nie miał gdzie mieszkać, bo w 1940 r. rozbił mu Luftwaffe ładny podmiejski domek. Opowiadał Henrykowi, że gdy przyjechał na urlop, to nie mógł znaleźć miejsca, gdzie stała willa, a z żony to sąsiedzi znaleźli tylko kawałek pokrwawionej sukienki. Od tego czasu Phillips wykoleił się zupełnie. Pił, grał w karty, aż wreszcie wyrzucili go ze służby. Henryka poznał na dworcu. Spali na jednej ławce. Phillips miał jeszcze dwa funty, więc wałęsali się przez tydzień, szukając pracy. Gdy wreszcie znajomy strażnik powiedział im, że sir Donald Malbright kupił „Elsy Maud" i kompletuje załogę, tak się ucieszyli, że poszli na piwo do tawerny starego Patricka. Phillips spotkał tam kilku kompanów i po godzinie był bez grosza. Wszystko przegrał w pokera. Rudy Chester zabrał pieniądze, a na dodatek srebrną papierośnicę Phillipsa, którą ten kiedyś, w dobrych jeszcze czasach kupił w Kopenhadze. Nic więc dziwnego, że już następnego ranka oglądali „Elsy Maud", w południe podpisywali kontrakty, a wieczorem byli u kapitana. Okazało się że i jego znają. Nazywał się Levis Mc-Scrooge, pił oryginalną kombinację whisky z piwem, uwielbiał wprost swą żonę i bardzo często płakał. Nazywano go „beksą", bo gdy trochę wypił, to wyciągał fotografię swej Jean i zalewał się rzęsistymi łzami. Właśnie, gdy przyszli do niego, był w takim nastroju, gdyż dostał pierwszą gażę i list od żony. Przyjął ich whisky i łzami. Wypili chętnie i spytali co myśli o tej „Elsy Maud". Znowu zaczął płakać i powiedział że napewno zatoną w pierwszym rejsie.

— Ale to nie szkodzi! — krzyknął przez łzy — Jean wypłacą premię! Kawał grosza dostanie!

Henryk zaklął, bo za niego nie miał kto odbierać prmeii, a Phillips korzystając z nieuwagi gospodarza, ściągnął leżącą na stole paczkę papierosów. Zapłakany kapitan otarł łzy i podzielił się z nimi tym, co wiedział. Załoga już była prawie w komplecie, brakowało tylko pierwszego oficera. Sochę mianował Mc-Scrooge głównym mechanikiem, a Phillipsa drugim oficerem. Za trzy dni mieli opuścić Londyn. Prawdopodobnie statek wypływał do Ameryki Południowej. Mc-Scrooge znów zaczął płakać bo przypomniał sobie, że za tydzień są urodziny jego żony, więc wypili whisky i poszli spać na pokład „Elsy Maud". Nareszcie mieli dom...

... Nie sprawdziły się przepowiednie Mc-Scrooge'a. Pierwszy rejs minął szczęśliwie i Jean nie otrzymała premii asekuracyjnej. Statek włóczył się z Londynu do Rio de Janeiro. Klarowały go różne firmy a za każdym kursem woził inny ładunek.

— Ta „Elsy Maud" — powiedział raz Phillips — to jak zwyczajna prostytutka: kto jej więcej zapłaci, to mu sprzedaje swe luki!

Henryk nie przejmował się sprzedajnością statku. Dzięki temu, że nie miał wiele roboty, całymi dniami grał z Phillipsem w karty. Grali na weksle, płatne po zawinięciu do Londynu. Kłócili się strasznie i nieraz z kajuty drugiego oficera dochodziły gorszące wrzaski i przekleństwa. Nie dziwiły zresztą nikogo, gdyż cała załoga żarła się wzajemnie i nie było dnia bez bijatyki lub awantury. Wiecznie pijany kapitan nie mógł opanować tej zbieraniny wyrzuconych poza obręb życia ludzi zamykał się w kajucie, rozmawiając na głos ze swą ukochaną Jean. Załoga składała się ze zdemobilizowanych marynarzy, dla których „Elsy Maud" była cichą przystanią po gorzkim okresie portowej poniewierki. Zarabiali nieźle, lecz nigdy nie mieli grosza. Jeden Mc-Scrooge mimo ciągłych pijatyk potrafił zaoszczędzić parę funtów, inni przepijali wszystko w Londynie lub Rio.

Henryk zapomniał o Polsce... Mijały dni podobne do siebie, jak paciorki czarnego różańca, nudne i monotonne, nabrzmiałe przekleństwami Phillipsa i pijanym bełkotem kapitana. Z każdą godziną oddalała się Polska, ustępując miejsca drugiej ojczyźnie, jaką był dlań pokład „Elsy Maud" statku, który przytulił go w niedobrej chwili. Domem była mu brudna kajuta, sąsiadująca z halą maszyn i targana zawsze hukiem pracujących kotłów. Nie miał domu w Polsce i nie miał domu w Anglii. Był sam na świecie ze swymi ranami i z „Military Cross" Nie miał poco wracać do Polski. Gasła myśl o dalekiej Ojczyźnie, kiedyś tak bliskiej a dzisiaj obcej i nieznanej...

Raz tylko, podczas trzeciej z rzędu bytności w Rio, drgnął Socha uderzony zatartym już w myślach wspomnieniem...

...„Elsy Maud" wchodziła do portu. Na mostku stał wyjątkowo trzeźwy Mc-Scrooge i starał się przekonać kierującego ruchami statku pilota, że lepiej od niego zna brazylijski port. Załoga wyległa na pokład i podziwiała wyłaniające się z mgieł miasto. Phillips spacerował wzdłuż burty, naradzając się z Henrykiem w jaki sposób przenieść na ląd dużą paczkę ze szmuglem, by nie zostać zatrzymanym przez celników... „Elsy Maud" kończyła połowę swej nudnej podróży... W chwili, gdy dobijali od nabrzeża Henryk ujrzał wychodzącą poza redę fregatę. Szare płachty żagli wyglądały jak wielkie, ciężkie od wiatru sztandary... Po pokładzie kręcili się ludzie, zdaleka czyniący wrażenie małych, zabawnych kukiełek. Żaglowiec opuszczał port.

Henryk wytrzeszczył oczy aż do bólu, starając się rozróżnić trzepocącą na wietrze banderę. Pobiegł do kajuty Phillipsa i przyniósł starą, nieużywaną nigdy lunetę. Poprostu przykleił się do szkieł... Wyraźnie zobaczył zwinny, znajomy żaglowiec. Poznał..

Gdy odjął szkła od oczu, ręce mu drżały tak gwałtownie, że aż Phillips spojrzał się nań ze zdziwieniem i powiedział, że jeżeli Henry boi się, to on sam przeniesie tą paczkę. Odburknął coś arogancko i znowu podniósł lunetę. Żaglowiec zniknął już z horyzontu. Odpłynął...

„Elsy Maud" wchodziła do basenu...

Socha gwizdnął przez nos, pokiwał głową i z pasją rzucił lunetę o pokład.

— Psiakrew! — warknął — „Dar Pomorza"!

To było wszystko....

Po tym poszedł do kajuty, by wziąć swój brezentowy płaszcz, pod którym miał zamiar przenieść nieoclony bagaż.

Tak wyglądało spotkanie Henryka z Ojczyzną. Pierwsze spotkanie od sześciu lat. Polska przyszła aż tu, do brazylijskiego portu i pozdrowiła go banderą odpływającego żaglowca. Przypomniała mu o sobie i zawołała doń wielką tęsknotą... A po tym odeszła. Znowu zostawiła go samego w obcym domu...

Szedł Henryk przez pokład „Elsy Maud" a spod płaszcza sterczała mu paczka ze szmuglem...

Polski nie było. Odpłynęła na żaglowcu. Zostało szare życie, zapiakany kapitan, kłótliwy Phillips i obcy statek, bardziej niż zwykle brudny i odpychający. I został „Military Cross". A Henryk pomyślał, że jednak w małej, metalowej odznace jest część dalekiej Polski, którą związały z nim wojenne rejsy w alianckich konwojach. Poczuł gorycz, silniejszą niż ból niezagojonych przestrzałów, gdyż zrozumiał że znowu odeszła od niego Ojczyzna... Zamajaczyła mu odległą banderą, niezapomnianą i bliską jak skrawek ziemi ojczystej i odpłynęła na pokładzie fregaty... Zostawiła mu rozbudzoną nagle tęsknotę i przypomniała, że żyje jednak i czeka na niego, chociaż daleka lecz zawsze bliska i jakaś inna, niż zamglony Londyn i zbliżające się ku niemu miasto...

... Spojrzał na pokład i ujrzał, że brazylijski pilot schodzi już z mostku, a „Elsy Maud" dobija do nabrzeża. Na brzegu czekali celnicy. Phillips zaklął grubo i zamaszyście splunął do basenu. Henryk też splunął, ale z innego powodu...

Bardziej niż myśl o rewizji celnej, zabolało go wspomnienie żaglowca, wracającego do kraju.

... A w trzy miesiące później po raz drugi spotkał Ojczyznę... Z kapitanatu londyńskiego portu sygnalizowano sztorm, a woda w basenie była czarna i wyglądała jak głębokie, zdradliwe jezioro. „Elsy Maud" przygotowana już do rejsu, huśtała się u moia, sapiąc rozpalonymi kotłami. Kapitan Mc-Scrooge przed paru godzinami rozstał się z żoną i siedział teraz w kabinie przy opróżnionej butelce „White Horse", załzawionym wzrokiem wpatrując się w fotografię jasnowłosej Jean. Tak był zaabsorbowany niemą rozmową ze swym kochaniem, że gdy do kabiny zajrzał pierwszy oficer i krzyknął:

— Przyszli już ci pasażerowie! Możemy odbijać! — kapitan zaklął i ruchem ręki wskazał mu gwałtownie drzwi.

„Elsy Maud", mimo sztormowej pogody wychodziła w rejs. Brzuchaty armator z Elisabethstreet nie chciał narażać się na straty spowodowane niedotrzymaniem umowy z wielką firmą eksportową. Pobłogosławił frachtowiec i poszedł do klubu na kawę z likierem.

Pierwszy oficer widząc stan, w jakim znajdował się Mc-Scrooge objął komendę. Większy miał u marynarzy posłuch, niż kapitan, któremu Jean i whisky przesłaniały cały świat, więc na statku kończono już ostatnie przygotowania do podróży.

Oczywiście rozkazy pierwszego oficera nie obowiązywały Phillipsa i Henryka. Obaj stali przy burcie, obserwując wchodzących na pokład ludzi, bo tym razem prócz normalnego ładunku, „Elsy Maud" zabierała do Brazylii pasażerów. Było ich dwunastu: wszystko mężczyźni, ubrani w zniszczone alianckie mundury, że spłowiałymi baretkami bojowych odznaczeń. Zdemobilizowani. W twarzach mieli zastygłą rezygnację i szli zmechanizowanym krokiem automatów. Nie wyglądali jak żołnierze zwycięskiej armii, lecz jak gnani do niewoli jeńcy. W małych kuferkach i wojskowych plecakach dźwigali swe miene, które towarzyszyło im w marszach poprzez fronty, a teraz płynęło wraz z nimi na wygannie. Bo ludzie wchodzący na pokład „Elsy Maud" byli wygnańcami. Jak symbol tułactwa krzyczały z zielonych bluz wyblakłe naszywki z napisem „Poland"...

Zmęczona Ojczyzna wchodziła do pływającego domu Henryka Sochy. Stał przy burcie i witał ją w milczeniu, nie wiedząc, czy cieszyć się z jej przyjścia, czy płakać, że taka jest biedna i spłowiała. Inną była wtedy w brazylijskim porcie, gdy pokazała mu z daleka biało-czerwoną banderą, do dzisiaj jeszcze nie dającą spokoju w bezsenne noce, spędzane na brudnej, zapluskwionej koji.

Ojczyzna, która w postaci dwunastu żołnierzy - tułaczy przyszła do Henryka była smutna i chora. Choroba czaiła się w oczach małego chłopaka z odznaką brygady strzelców spadochronowych i widniała na twarzy bladego sierżanta z broni pancernej..

Marynarze podnosili trap. Syrena „Elsy Maud" sygnalizowała początek rejsu...

Henryk nie patrzał się w oczy Phillipsowi, lecz wzrok miał utkwiony w pokład gdy spytał.

— Słuchaj, nie ma u ciebie whisky?

Drugi oficer roześmiał się hałaśliwie i burknął:

— Co, chory jesteś?

(Dokończenie na str. 5-ej)

Karol II angielski, Krystian V duński, biskup Johannes z Lubeki, wielki książę Ferdynand z Toscany, a elektor Fryderyk Wilhelm Brandenburski i królowa Krystyna szwedzka zapraszają go na swe dwory. Ale Heweliusz odrzuca te propozycje.

Pracuje dalej w ciszy swego obserwatorium ze swą młodziutką drugą żoną Elżbietą, córką gdańskiego piwowara, którą uwiecznił dwukrotnie w miedziorytach zamieszczonych w swych dziełach i która w obserwacjach astronomicznych była mu nie małą pomocą.

Jeszcze poprzednio drukuje „Prodromus cometicus", „Cometographia", część pierwszą „Machina coelestis", a w roku 1679 kończy drugą część „Machina coelestis" dedykując ją Sobieskiemu. W tym czasie wygrywa spór naukowy z Hooke, angielskim astronomem, który zarzucił Heweliuszowi niedokładność pomiarów i zaatakował wartość naukową jego prac.

Nadchodzi fatalny dla astronoma moment, kiedy to w sierpniu 1679 r., podłożony ręką złośliwego sługi, ogień trawi trzy domy astronoma wraz z obserwatorium, wszelkimi instrumentami, korespondencją, książkami i dobytkiem. Cały plon 40-letniej pracy naukowej zniweczony.

Nie opuścił go w biedzie Sobieski, poparli ojcowne miasta, przysłał dar pieniężny Ludwik XIV. Nie załamał się Heweliusz i przed końcem 1680 roku zaczął astronom swoją pracę w nowowybudowanym obserwatorium, dalej obserwował niebo, dalej dokonywał pomiarów i odkryć gwiazd, z których tworzył nowe konstelacje lub przydzielał do już istniejących. Jedną z konstelacji składającą się z 7-u gwiazd, tak jak rodzina króla Sobieskiego składała się z 7-u członków, nazwał na cześć i chwałę króla „Scutum Sobiescianum" — „tarczą Sobieskiego", którą jak sam pisze, przeniósł na „wieczną pamiątkę Najczcigodniejszego Naszego Króla i Pana Jana III Króla Polskiego..."

Dwunastotygodniowa choroba w roku 1687 kładzie kres życiu Jana Heweliusza. Zmarł w południe w dniu swoich urodzin przeżywszy równo lat 76.

Niedługo trwała sława Heweliusza. Bowiem jeszcze za jego życia i wkrótce po śmierci, na skutek ulepszenia teleskopu zaznaczył się olbrzymi postęp w dokładności astronomicznych pomiarów.

Dopiero w r. 1787 Gdańsk niezwykle uroczyście obchodził setną rocznicę śmierci astronoma.

Król Stanisław Poniatowski umieścił popiersie Heweliusza w sali sławnych Polaków na Zamku Warszawskim oraz przesłał Gdańskowi w darze w r. 1790 bronzowy odlew popiersia.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ.

Do statku zbliżył się holownik i „Elsy Maud“ drgnęła, szarpnięta stalową liną... Żołnierze zniknęli w kubryku. Na pokładzie został plecak jednego z nich. Zielony, wojskowy plecak noszący ślady minionych trudów...

— Tak — szepnął Henryk — chory jestem... Bardzo jestem chory...

...Wieczorem rozmawiał z tym małym spadochroniarzem. Pochodził gdzieś z Pomorza. Miał duże niebieskie oczy i cichy, jakby zalękniony głos. To jego był ten zostawiony na pokładzie plecak. Trzymał w nim cały swój majątek. Płynął do Brazylii. Do Polski nie chciał wracać.

— Miałem matkę — opowiadał Henrykowi — zginęła jeszcze we wrześniu. Poco tam pojadę? Porucznik mówił, że wszystkich wywożą... Ojciec miał pod Bydgoszczą gospodarkę. Szesnaście mórg. Znam się na roli. Dam sobie radę i w Brazylii. Tam nasza ojczyzna, gdzie mamy chleb, prawda?

Napróżno czekał odpowiedzi, Henryk siedział skulony i wsłuchiwał się w monotonny plusk uderzającej o burtę wody. Wieczór był dżdżysty, a mgły okryły samotny statek szarym płaszczem, towarzysząc mu w dalekiej drodze przez ocean...

— A gdy jesteś głodny, to wszędzie chleb smakuje ci tak samo — zakończył spadochroniarz.

Socha zapomniał już jak smakuje chleb w kraju...

Ciekawe, czy jest tak gorzki jak te ostatnie lata? — przeszło mu przez myśl. Spojrzał na chłopaka i żal mu się zrobiło śpiących w kubryku ludzi. Podobni byli do niego. Jeden nosił „Military Cross“ a sierżant z broni pancernej miał poplamiona wstążkę „Virtuti Militari“ z naszytymi na nej trzema gwiazdkami.

— I on dostał trzy razy — pomyślał Henryk.

Chłopak ziewnął i oświadczył, że chce mu się spać. Poszedł do kubryku.

... Na pokładzie została ciemność i opar ty o burtę człowiek. Z kajuty kapitana dobiegało światło i chrapliwe słowa pijackiego monologu...

— Pewnie Mc-Scrooge znowu płacze... — szepnął Socha.

Ale dlaczego płacze kapitan Mc-Scrooge? Dlaczego płacze człowiek, który ma żonę i dom? Oni przecież nie płaczą...

Nie płacze Henryk i nie płacze strzelec ze spadochronowej brygady. Są chorzy i zmęczeni, wyrzekli się domu a mimo to nie płaczą.

— Chyba dlatego — pomyślał oparty o burtę człowiek — że łez już nam dawno zabrakło...

... Całą noc tkwił na pokładzie, myśląc o latach, które zabrały mu łzy i o chorych ludziach śpiących w kubrykach. Rankiem przywlókł się do kajuty i w butach runął na koję. Zasnął, lecz w twarzy miał coś takiego, że gdy do kajuty przyszedł Phillips i chciał go zbudzić na śniadanie, popatrzył chwilę na śpiącego i bez słowa cofnął się na pokład.

— Lepiej go nie ruszać — mruknął do Mc-Scrooge'a — Albo jest pijany albo zęby go bolą...

... Przez rok nie było Polski. Była „Elsy Maud“, Phillips, kapitan, whisky i poker. Były dwa porty: Londyn i Rio de Janeiro, był Atlantyk i tawerny, lecz Polski nie było. Nie chciał jej widzieć. Podczas postojów w Londynie całymi dniami siedział w szynku starego Patricka, bojąc się, że w porcie może spotkać przybyłe z kraju statki.

Ale gdy któregoś wieczoru wracał na pokład, ujrzał czekające na załadowanie pryzmy drewnianych skrzyń. Na jednej z nich zobaczył napis: „Poland“. Zrozumiał, że po raz trzeci przyszła do niego Ojczyzna.

Mc-Scrooge parskając niezadowoleniem oznajmił, że stary armator zwariował i każe mu płynąć do jakiejś Gdyni.

— To podobno gdzieś na Bałtyku? — pytał złym głosem. Wściekły był jak morze podczas sztormu, bo przez całą noc musiał pilnować załadunku unrrowskiej drobnicy.

Henryk bez słowa wrócił do szynku.

...Rano ledwie wdrapał się na pokład. „Elsy Maud“ opuszczała Londyn.

Po wyjściu z portu wzięła kierunek inny niż zwykle. Na wschód. Do Polski...

Dopóki nie przeszli Skagerraku siedział w dusznej kajucie i grał w karty z Phillipsem, lecz po przepłynięciu Zundu wziął lunetę i wylazł na pusty zazwyczaj mostek kapitański.

Po raz trzeci zawołała doń Polska znajomym zarysem helskiego półwyspu. Wychodziła mu naprzeciw, zapraszając w gościnę...

O zmierzchu „Elsy Maud“ weszła do Basenu Prezydenta.

... Jako ostatni opuścił pokład. Początkowo nie chciał w ogóle schodzić na ląd ale wygnała go zwyczajna ciekawość. Nie widział Gdyni od sześciu lat.

Gdy wyszedł poza teren portu przypomniał sobie swoje pożegnanie z białym miastem. Pozostała mu w pamięci chmura dymu, rozpostarta nad srebrnymi dachami zalanych słońcem kamienic. W ulicach dudniły wybuchy artyleryjskich strzałów, jak huczące kroki idącej do miasta wojny. Odpłynął wtedy na pokładzie statku, który w trzy miesiące później zatonął u norweskich wybrzeży...

A potym przyszła obczyzna. Długie dni, tygodnie i lata pozbawione Polski, gaszące ją codziennym trudem. Dni, gdy był samotny...

Dziś znów patrzy na Gdynię. Ulica, prowadząca do portu idą robotnicy. Nad miastem kolebie się zmierzch. W prostokątach szyb płoną światła. Mimo mroku w porcie stęka taśmowiec, spływając do otwartych luk czarną kaskadą węgla.

Henryk idzie przez miasto. A za nim wlecze się myśl o dwóch spotkaniach z krajem: o fregacie z szarymi żaglami i o chorych żołnierzach z naszywką „Poland“ na ramieniu...

Widzi ludzi śpieszących do domów, szczęśliwszych od niego i bogatszych bo mają dom i mają gdzie wracać. Jego dom kołysze się w porcie: „Elsy Maud“, stary brudny frachtowiec...

Na tego człowieka w zatłuszczonym smarami ubraniu, wracającego chyba z pracy czeka dom i ktoś bliski, komu zależy na jego powrocie. A kto czeka na niego? Phillips? Mc-Scrooge? Tułaczka po morzach?...

Gdynia otacza go ramionami ulic, zaprasza gościnnym pokłonem czerniejących za miastem lasów i woła echem portowej pracy...

Tułacz z pokładu „Elsy Maud“ przyśpiesza kroku... Boi się. Boi się Gdyni i ucieka do portu!

Obramowane latarniami ulice gonią go refrenem samochodowych klaksonów...

Tchórz... tchórz... tchórz...

Na mokrej jezdni kładą się pasma reflektorów, jak żywe ludzkie ciała, zagradzające drogę uciekinierowi...

Gdynia nie chce go puścić. Umyślnie oddala port od miasta, kładąc na szosie cienie przydrożnych drzew jak ciemne, broniące odwrotu barykady...

— Nie odchodź! — woła syrena wpływającego do basenu statku...

— Zostań — prosi niewidziane od lat miasto...

Henryk biegnie. Wraca na pokład „Elsy Maud“. Wraca do Phillipsa i kapitana, wraca do brudnej kajuty i do tęsknoty tchnącej bólem i pustką... Nie chce Ojczyzny...

... Gdy w porcie zwolnił kroku i ciężko dysząc szedł wzdłuż pustej bocznicy kolejowej spotkał Mc-Scrooge'a. Anglik był pijany i siedział na pustej drewnianej skrzyni. Na widok Henryka zaczął bełkotać o Jean. Wyciągnął z kieszeni podarty portfel i kazał Henrykowi oglądać zdjęcia.

— Patrz! — mamrotał — To mój dom! Home, sweet home!

Z postrzępionej fotografii spojrzała mała willa ze spadzistym dachem. Mc-Scrooge naprzemian klął i płakał, narzekając na przymusową rozłąkę. Taki był nudny, że Henryk wykręcił się na pięcie i odszedł w stronę mola.

Z pokładu przycumowanego obok „Elsy Maud“ norweskiego węglowca płynęły w noc słowa nieznanej piosenki. Jakiś marynarz nucił smutny, wciąż powtarzający się refren. Henryk nie rozumiał słów, lecz wiedział że marynarz śpiewa o domu...

Wszedł po trapie na pokład. Kajuta była pusta. W messie siedziało dwóch ludzi. Rozmawiali głośno, wybuchając co chwila donośnym śmiechem...

Zmierzwiona koja, odepchnęła go zaduchem brudnej pościeli. Nie kładł się ale wrócił na pokład i stanął przy burcie. Norweg wciąż śpiewał smutną piosenkę... Miasto znów przybliżyło się do niego i mrugało łuną ulicznych świateł...

Zaczynał padać deszcz, głusząc norweską piosenkę o domu nad fiordami...

Z „Elsy Maud“ zszedł człowiek i ciężkim krokiem pogrążył się w noc. To Henryk wracał do Gdyni...

Rankiem do portu wpłynął „Eastern Prince“. Na molo czekał niecierpliwy tłum. Z pokładu schodzili ludzie w zielonych bluzach. Tłum zafalował i runął do przodu otaczając ich pełnym szczęścia gwarem.

Tylko Henryk nie ruszył się z miejsca....

Zielone bluzy z wypłowiałymi jeszcze bardziej naszywkami „Poland“ zniknęły przysłonięte falą kobiet i dzieci...

A na uboczu stał zmęczony żołnierz.

Był sam. Nikt go nie witał. Miał walizkę i szary, zniszczony plecak. Skrzyżowały się ich oczy...

Poznał go Henryk. Na bluzie żołnierza lśniła metalowa odznaka wojsk spadochronowych.

— Wróciłeś jednak... — szepnął.

Mały strzelec potaknął głową.

— A ty? — spytał. Oczy miał inne niż wtedy, gdy wraz z chorymi żołnierzami płynął do Brazylii. Patrzał na Henryka z wyczekiwaniem. Uderzał go spojrzeniem...

Ale marynarz z załogi „Elsy Maud“ nie opuścił wzroku.

— Wróciłem i ja! — powiedział głośno.

Od morza szedł wiatr, trzepocząc banderą stojącego za „Eastern Prince“ polskiego holownika. Henryk przypomniał sobie szary żaglowiec, pozdrawiający go w Rio umiłowanymi barwami biało-czerwonej flagi...

Spojrzał na strzelca i uśmiechnął się szeroko. A potym nie wiadomo dlaczego zdjął czapkę.

... I to było jego trzecie spotkanie z Ojczyzną.

JERZY SZELIGA

*) Opowiadanie nagrodzone na konkursie marynistycznym Gdańskiej Wojewódzkiej Rady Sztuki i Kultury Artystycznej.

D. GAŁAŁAJEW

WIELKA WODA

Wuj Tereń podchodzi bliżej. Chłopaczek z niepokojem oczekuje go, ale przyjrzawszy się, opuszcza głowę.

— Wasz jeleń wuju Tereń! Mówi ze smutkiem i odwraca się, żeby ukryć niegodne myśliwego wilgotne oczy.

— A my to zaraz rozpatrzymy, Mitiaj, do kogo należy jeleń — odpowiada stary i nachyla się nad cielskiem.

Znajduje odrazu otwór we łbie między rogami. Dokładny, okrągły otwór i wuj Tereń zachwyca się mimowoli celnym strzałem. Trzeba jednak znaleźć drugi otwór, żeby nie skrzywdzić nikogo. Wuj Tereń starannie bada jelenia, ale drugiego otworu nie ma.

Zdenerwowany Mitiaj śledzi go, serce jego tłucze się niespokojnie.

— Twoja kula, mówi wuj Tereń.

— Moja? — Z niedowierzaniem zapytuje Mitiaj.

— Twoja. W twoją stronę patrzał jeleń, i kula twoja.

— Moja? Z zachwytem szepce Mitiaj i nagle krzyczy, aż rozlega się po tundrze: Moja!

— A więc gratuluję pierwszego zwierza, Mitiaj! Uroczyście winszuje stary. Pierwszy przecież?

— Pierwszy!

— Będziesz wielkim myśliwym, Mitiaj.

Mitiaj nie wie co robić ze szczęścia. Chciałby być statecznym, zrównoważonym: no i cóż, zabił jelenia i co w tym takiego? Ale szczera, dziecięca radość aż tryska z jego oczu. Piegi na nosie świecą jak gwiazdy.

Wuj Tereń oprawia jelenia. Ręce we krwi. Krew ciepła.

— Pij! Mówi do młodego myśliwego. Nigdy nie będziesz miał szkorbutu.

Mitiaj pochyla się do cięcia na gardle jelenia i pije ciepłą krew. Aby nigdy nie mieć szkorbutu, aby być silnym, śmiałym, zręcznym myśliwym.

Oprawiwszy i schowawszy jelenia, obaj — stary i mały — idą ku chacie i prowadzą poważną rozmowę jak dwóch, starych myśliwych.

— Jak łowy, Mitiaj? Pyta wuj Tereń.

— Mogłyby być lepsze — odpowiada malec: nie przystoi myśliwemu przechwalać się, a narzekać na łowy — nie uchodzi.

— Lisy niebieskie teraz już nie takie... wyjaśnia z powagą.

— Nie takie?

— Lisy teraz chytre. Na zwykłą przynętę już nie idą. Nie to co dawniej.

— A ty pamiętasz jakie dawniej były lisy?

Mitiaj zmieszał się. Ojcowska czapka zsunęła mu się na nos.

— Ludzie opowiadali... mamrocze.

— A może i nie kłamali ludzie! Dobrodusznie zgadza się wuj Tereń. Człowiek mądrzeje, czemu i zwierzęta nie miałyby zmądrzeć.

— A jak z twoim planem?

— Plan, wuju Tereniu, wypełniłem całkowicie.

— Toś zuch i przodownik.

— A czy plan jest duży? Wuj Tereń zapytuje, bo tak wypada. Jak wszyscy ludzie w tundrze i on słyszał o umowie Mitiaja. Sporządził ją wesoły instruktor, objeżdżający osady. Mitiajowi dali karabin, łódź, działkę i wyznaczyli plan: pięć lisów. Stał się Mitiaj chwackim łowcą. i nawet nie tylko był dumny z karabinu, co z planu.

— Plan — pięć lisów, wuju Tereń! A ja jeszcze upolowałem zająca — bielaka... I pięć kuropatw. Jelenia także. Teraz myślę wybrać się na gęsi.

— Wielkie masz obroty, teraz bogacz z ciebie! A co zrobisz z dochodem?

— Wszystko dla ojca — zmieszał się Mitiaj. Ja nic nie potrzebuję.

— A jak tam u ojca z planem?

— U ojca? Kiepsko mu idzie.

Stary uśmiecha się. I jakgdyby nigdy nic — kontynuuje gawędę.

— O ile pamiętam, miałeś jeszcze jeden w planie punkcik. A czy wypełniasz?

— Wypełniam, wuju Tereń, niepewnie odpowiada chłopiec Do ułamków już doszedłem.

— A nie rzesz?

Mitiaj aż się obraził — Pies kłamie, a ja — człowiek. Choćbyście i egzamin mi zrobili.

Teraz z kolei miesza się wuj Tereń. Drapie się w głowę i mówi:

— Kiepskiegoś bracie wyszukał profesora do egzaminu. Sam profesor na palcach liczy. Ale nie martw się, Mitiaj. Rób tylko swoje: ucz się. Uczonym będziesz, na kurs pojedziesz, nie obejrzysz się jak w profesory wyskoczysz.

— Nie, ja lepiej tu zostanę, wuju Tereń, mówi chłopiec i podnosi oczy na starego. Tu dobrze!

— Dobrze?

Podchodzą już do chaty. Chata jest na dole, na brzegu małej, cichej zatoczki. Daleko w zalew wrzyna się masywny, garbaty przylądek: Kamień Jefriema. Dziś jest niezwykły. Nie ponury, jak na jesieni, nie czarny z siwizną, jak kaukazkie srebro z czernią — tak jak w zimie, a przydymiony, nawet granatowy i lekki — lekki, prawie niematerialny. Dookoła niego — błękitny zwał lodów, niezmierzona, spokojna, śnieżna równina. Pod tchnieniem wiosny śnieg jest srebrzysty, ma już w sobie matowy połysk metalu. Na zalewie cicho. Słońce gra spokojnie w załamaniach lodu. Tundra drzemie. Lekki dymek nad chatą i stuk siekiery. Widocznie Trofimow gospodaruje w obejściu. A wokół rozpościera się tundra, matka — ziemia wilgotna. I jak jeszcze wilgotna. Wilgotniejszą być nie może.

— Dooobrze! Zgadza się wuj Tereń.

Schodzą do chaty. Trofimow nazywa ją osadą. Istotnie jest to jedyne na Wschodnim Brzegu domostwo otoczone częstokołem. Poco jest ten częstokół — Trofimow i sam nie wie. Złodziei nie ma, włóczęgów nie bywa, wilki nie przychodzą. Nikt nie ma zamiaru targnąć się na ziemię Trofimowa. Jest on jedynym gospodarzem tundry, ciągnącej się wokół na dziesiątki kilometrów, jej jedynym mieszkańcem i zdobywcą. Ale tę właśnie działkę przy zatoczce ogrodził i zagospodarował. Jakgdyby bronił się przed tundrą: to jest moje — trofimowskie zamieszkałe, tam za częstokołem jest cudze, dziki kraj, bezludzie. I izby jego nie można porównać z innymi— czysta, ciepła, zasobna. Zbudował przy niej drewutnię, a obok niewielką łaźnię. Starannie popiłował drzewo i poukładał w sągi. Wykopał na podwórku rowki, żeby woda wiosenna ściekała szybciej. Wypuścił na podwórko gęsi — jeszcze w zeszłym roku złapał dwie wyleniałe i oswoił je. Chodzą po podwórku, jakby specjalnie przeznaczonym dla hodowli drobiu i smętnie gęgają. Psy już się z nimi oswoiły.

— Gospodarny chłop z twego ojca — mówi wuj Tereń, wciągając słodki dym domostwa i w głosie jego daje się wyczuć nie tylko pochwała ale i pobłażliwość, taka sama jak i tu Mitiaja, kiedy mówi o ojcu.

Trofimowa zastali na podwórku przy saniach. Nad szybko schnącą ziemię podwórka unosi się ciepła, wiosenna para. I wydaje się, że Trofimow nie sanie reperuje, a bronę, szykuje na wiosnę.

— Jelenia zabiłem! — krzyczy Mittiaj. — Sam zabiłem. Wuj Tereń widział.

— Widzisz go, dziwi się ojciec i witając się z wujem Tereniem mówi, wskazując na syna, jakby z prośbą o wybaczenie: — myśliwy rośnie. Dziki.

Prowadzi wuja Terenia pokazać przybytek w domu: córkę.

— Córka ma trzy miesiące. Śpi w kołysce zawieszonej na krokwi i przez sen słodko mlaska wargami. Kołyskę Trofimow sam zmajstrował. Dopóki kobieta Trofimowa krząta się przy kuchni, mężczyźni palą i gawędzą. Trofimow rozpoczyna rozmowę o gospodarstwie. Cieszy się z całej duszy, że jest z kim pogawędzić, że jest przed kim pochwalić się planami.

Plany są duże: przewiduje się przebudowę izby, powiększenie łaźni i nowe pomieszczenie dla psów.

— Tybyś miasta budował, Trofimow! śmiejąc się przerywa wuj Tereń. Jakiż z ciebie myśliwy. Tyś budowniczy.

— To też ! buduję — z dumą uśmiecha się Trofimow.

Gospodyni stawia na stół jedzenie. Mężczyźni chowają fajki za cholewy i biorą łyżki.

— W gazetach piszą, mówi między barszczem i smażoną jeleniną wuj Tereń, — a i ludzie już mi o tym mówili, jakoby uczeni wymyślili takie ulepszenie, że i w tundrze będzie można siać zboże.

— O! to byłoby dobre! Z ożywieniem mówi Trofimow. Ziemi tutaj — Boże ty mój. Jeśli się ją spulchni, zaorze i zasieje... — aż zamarł w zachwycie. Ale potym, machnąwszy łyżką, kończy: — ale przypuszczam, że ludzie kłamią. Ziema jest na wskroś przemarzła i nawet użyźnianie nie pomoże. I westchnąwszy dodaje: — A ziemi jest dużo. Po sytym posiłku rozmowa milknie. Gospodyni niańczy córkę. Mitiaj przypomniał sobie widocznie o dodatkowym punkcie w umowie i siadł do książki. Podparł policzki pięściami i czyta, poruszając wargami. Nie może się jednak powstrzymać, by od czasu do czasu nie rzucić okiem w stronę okna, a spojrzenie ma jak ptak w klatce. Trofimow wyszedł na chwilę do gospodarstwa, z podwórka dolatuje stuk jego siekiery. A wuj Tereń siedzi przy ogniu i pali w zamyśleniu. W domu Trofimowa jest ciepło i przytulnie. Pachnie kapuśniakiem, mokrymi pieluchami i skórą baranią, — drażniącymi, wiejskimi zapachami i wuj Tereń myśli o tym, że smutno samotnikowi żyć na świecie. Dobrze by było po powrocie zastać w domu w okresie wielkiej wody... nno... córkę — albo syna... wnuków... A tak wrócisz do domu — a w izbie nawet i nie napalone

Takie myśli nawiedzają go zawsze ilokroć gości u Trofimowa.

W nocy wuj Tereń rusza dalej. Nocą lżej jest iść — podmarza. Trofimow wręcza mu telegram i prosi osobiście dopilnować, żeby przekazano go w całości. W telegramie są rzeczowo wyliczone zapasy, które należy przywieźć dla Trofimowa na następną zimę. Spis jest długi. Gospodyni ładuje torbę wuja Terenia jedzeniem i prosi o zdobycie na Diksonie skondensowane-

(Dokończenie nastąpi)

MICHAŁ KOCHAŃCZYK

MANNA-HATA-NEW YORK*)

Poznałem pobieżniej lub dokładniej kilka ciekawych, wielkich miast i stolic państw. Tak się jakoś układało, że do niedawna nie byłem w Nowym Jorku. Kiedykolwiek byłem świadkiem rozmowy na temat tego miasta, które licząc od osiedlenia się na Manhattan pierwszego białego człowieka, ma obecnie 322 lata rozwoju i około 9.000.000 ludności — odczuwałem, że mi czegoś brak. To też kiedy **ss. Pułaski** odbijał od mola w Gdyni, cieszyłem się, że **w mojej praktycznej**, choć bezplanowej znajomości geografii uzupełnię tą poważną lukę.

Zacząłem się wówczas zastanawiać, jakie wrażenie zrobi na mnie to ogromne miasto. Czy może tak, jak Rio de Janeiro, wciągnie mnie w krąg tych swoich zwolenników, którzy urzeczeni pięknem egzotycznego krajobrazu i subtelnymi blaskami niezliczonych neonów — nie zapominają go nigdy? A może rozczaruje tak, jak zgiełkliwe Buenos Aires, gdzie gwar i hałas towarzyszą stałej pogoni za zdobyciem „pesos" na chleb codzienny i tłumią wszelkie inne uczucia u każdego przybysza z Europy?

Na morzu — mimo sztormów na Atlantyku — dni wlokły się wolno. Przez całą podróż rozmowy zaczynały się przeważnie od stwierdzenia złej pogody i poprzez obfite posiłki kończyły się na wiadomościach z radiostacji. Czas w gronie pasażerów i ciężko pracującej załogi upływał monotonnie, dopóki pewnego popołudnia nie ujrzeliśmy przez lornetki zarysów lądu.

Były to kontury Long Island. W tym czasie, od widocznego przed nami latarniowca odbiła biała motorówka i po kilkudziesięciu minutach przypiła się do burty „Pułaskiego", aby nam dostarczyć pilota. Zwolniliśmy szybkość. Marynarze znający z doświadczenia wjazd do portu i zwyczaje tutejszych władz emigracyjnych, zaczęli wyrażać obawę, że już nie zdążymy tego dnia lądować.

Słońce chyliło się ku zachodowi, rzucając coraz to bardziej purpurowe blaski na spokojną wodę. Z prawej strony ciągnął się widoczny coraz wyraźniej — pas płaskich brzegów Long Island, nad którą wisiał nieruchomo niski pułap mgły. Gdzie niegdzie nad wyspą, mgły tworzyły sinawe leje i odsłaniały pędzące auta po tzw. speed way'u i szare wysoke budynki, wyglądające z daleka jak ogromne zbiorniki. Nie widać było jeszcze Nowego Jorku. Trwał ukryty w obramowaniu dwóch rzek, zawoalowany w gęstych sinych mgłach.

Na horyzoncie słońce zawisło przez chwilę nisko nad Atlantykiem, i wreszcie raptownie schowało się w głębinach oceanu. Szarość nocy i mgła gęstniały szybko, odbierając nam resztę nadziei ujrzenia miasta przed wpłynięciem do ujścia Hudsonu. Pilot, smukły i pewny siebie Amerykanin, oparł się o balustradę obok sternika i obojętnie podawał mu komendę, prowadząc statek na miejsce, gdzie mieliśmy stanąć na kotwicy i czekać do rana.

ZA 24 DOLARY...

Po jakimś czasie mgła przed nami przybrała kolor płomieni, tworząc wysoką stromą ścianę ognia. To słynne Manhattan, wyłudzone w 1626 r. od Indian za 24 dolary przez Holendra Minuita, rozjarzyło się milionami świateł. Oświetlony rzęsiście kompleks „drapaczy chmur" rósł teraz szybko. Po leniwym Hudsonie sapały parą pękate holowniki, ciągnąc za sobą długie rzędy obładowanych barek i pontonów. Spacerowaliśmy po pokładzie słuchając jak łagodny plusk wody pod naporem statków ożywiał ciszę nocy. Z mrocznych zakamarków statku, gdzie nie łatwo dotrze oko kapitana — dochodziły szepty czujących się z pasażerkami naszych marynarzy. Nie daleko od nas wielkie miasto tryskało kaskadami ogni, gwaru i śmiechu.

Patrząc nocą z Hudsonu na ten masyw ognia, czuje się, że miasto to ma w sobie coś z ogromnego walca, który tocząc się siłą bezwładu przygniata człowieka.

Statek nasz stanął na kotwicy w najciekawszym miejscu na South Ferry. Przed nami płonie kompleks „drapaczy". Służba zapewne kończy sprzątanie biur na osiemdziesiątych piętrach. Później portierzy wygaszą światła i rozżarzone kolosy spowije noc. Ustanie na kilka godzin życie w całym Manhattan. Wyludni się wszechwładna Wall street i cała dzielnica — centrum wielkiego business'u. Jego właściciele przenieśli się na noc do luksusowych hoteli i will w mieszkalnych dzielnicach Nowego Jorku, aby **podsumować zagarnięte zyski.**

Na Wall street kiedyś była **giełda dla handlu żywym towarem.** Dziś stoi tu „świątynia mamony" — osławiona New York Stock Exchange. Tu, przed Lincolnem, farmerzy Południa zaopatrywali się za bezcen w ludzką siłę roboczą. **Dziś amerykańscy milionerzy regulują stąd ceny na chleb w Chinach i połowie Europy. Być może, że gdyby wsłuchać się nocą w echa, stockbroker'ów ogłaszających wczoraj na giełdzie wzrost akcji spółek naftowych — można by tu dziś jeszcze usłyszeć świst bicza i jęk nieszczęśliwych niewolnic kolorowych, zaklęty w marmurowych kolumnach banków i giełdy.**

Po Hudsonie kursują mocno iluminowane ferry przewożąc pasażerów do oddzielonych rzeką dzielnic miasta. Blisko za rufą natomiast mamy Statuę Wolności. W blaskach trzymanej przez nią pochodni widać z naszego pokładu nie tylko gwiaździsty wieniec na głowie i rysy twarzy niewasty, mającej symbolizować wolność, ale, o mało co, nie daje się odczytać zdań z konstytucji Waszyngtona, którą dumnie trzyma na piersi, **zdań, które obecni władcy Stanów Zjednoczonych chętnieby wykreślili.**

Następnego dnia rano zjawili się celnicy i władze emigracyjne do odprawy statku i pasażerów. Kiedy załatwiali oni w salonie swoje urzędowe czynności, wypytując każdego o szczegóły, jakiś otyły przedstawiciel departamentu zdrowia obładowywał się w prowianturze naszymi owocami i jarzyną, zabierając to wszystko do laboratorium, celem zbadania czy przypadkiem nie przywieźliśmy z Europy jakichś... zarazków, groźnych dla sadów w Ameryce. Niezadowalające wyniki takiego badania mogą doprowadzić do zamknięcia prowiantury, zniszczenia zapasów, no i **konieczności zaopatrzenia statku w produkty amerykańskie.**

„Pułaski" podniósł kotwicę i stosownie do instrukcji dobił do **piru** niedaleko pięknego mostu Waszyngtona. Jest to prawdopodobnie najwspanialszy most wiszący na świecie, liczący ponad 3.000 mtr. długości, przez który rocznie przechodzi przeciętnie 6.000.000 ludzi. Most Waszyngtona jest prze wieszony 80 mtr. nad poziomem Hudsonu i z daleka wygląda jak cieniutka zwisająca taśma.

Po podpisaniu manifestu celnego, na którym jest m. in. sakramentalna klauzula, zabraniająca lądowania na terytorium U. S. A. obcokrajowcom **„zamierzającym obalać przemocą rząd Stanów Zjednoczonych oraz bigamistom i anarchistom"** — uzyskujemy wreszcie prawo do wylądowania w Ameryce.

TEMPO, TEMPO

Nowy Jork wyróżnia się z pośród innych wielkich miast na świecie, jak wiadomo nie tylko rozmiarami, bogatą techniką czy wysokością budowli, ale przede wszystkim tempem życia. Odznacza się też swoistą planowością. Tempo to uwidacznia się w każdym niemal przejawie jego funkcji i uderza wyraźnie obcego człowieka. Przy wejściu do metra, w fabryce, w restauracji i w sklepie — dosłownie na każdym kroku. Na pogardliwe spojrzenia ekspedientów narazi się kupujący, który wszedłszy do wielkiego magazynu, zastanawia się nad wyborem towaru. Znana dewiza, że „czas to pieniądz", nigdzie na świecie nie jest tak przestrzegana, jak w tym zawrotnie pulsującym mieście. Nawet spokojne zjedzenie posiłku jest tu dla szarego człowieka niepotrzebną stratą czasu, którego mu zawsze jest brak. To też poważny procent ludności w Nowym Jorku żywi się w specjalnych, quick service restauracjach (szybko obsługujących) podających za 10 centów standartowe dania. Przeważnie są to tzw. „hot dogs" tj. niezłe parówki z musztardą w podłużnej bułce lub siekany kotlet tzw. „hamburgers" z raczej pośledniego gatunku mięsa. Do tego można dostać za dodatkową opłatą kawę, herbatę, kakao lub sok owocowy. Taki posiłek spożywa się na poczekaniu, przeważnie stojąc przy bufecie.

Nie sposób będąc w Nowym Jorku, nie zapoznać się bliżej z najwyższym budynkiem, o 104 piętrach, z których dwa są pod ziemią — Empire State Building. Jest to najwyższa budowla na świecie. Wchodzimy do luksusowego hallu, aby za opłatą jednego dolara wybrać sobie jedną z 61 wind osobowych na stodrugie piętro z przesiadką na osiemdziesiątym. Po niecałych dwóch minutach jazdy znajdujemy się u celu. Przez specjalną lunetę można obserwować stąd całe miasto, ujęte w kleszcze dwóch rzek. Znajduje się tu sklep z pamiątkami. Na niższej kondygnacji jest wspaniała restauracja z widokiem na rozpościerające się miasto wyglądające jak szachownica.

TTATR I TANDETA

Będąc w drodze na statku, słyszałem pochlebną opinię o teatrze Burlington. To też bardzo się ucieszyłem, kiedy przechodząc pewnego wieczora przez Time Square napotkałem wspomniany teatr. Niestety, uciecha ta nie trwała długo. **Jak wszystko w tym kraju, tak i kino i widowiska teatralne są tu obliczone przede wszystkim na zysk.** Odbija się to na samej sztuce, o czym wkrótce przekonałem się osobiście.

Sala obliczona na tysiące widzów. Scena i dekoracje tandetne i utrzymane prawie że niechlujnie. Rozpoczyna się rewia. Na scenę wychodzi co raz to nowy zespół artystów i przy przedziwnych wygibach niższych częściach ciała deklamuje jakieś kawały od siedmiu boleści — oczywiście wulgarnie zmysłowe. Już po pierwszej części takiego przedstawienia widzowi robi się słabo — po drugim zaczyna się denerwować, że wydał pół dolara, ale jeszcze się łudzi, że chyba pokażą coś lepszego. W trzeciej części rezygnuje z dalszego marnowania czasu i wychodzi. Na jego miejsce zjawia się nowy gość — i tak w koło. Nawet słynna Radio City Hall, obliczona na 6.200 osób, nie zawsze potrafi zadowolić swoim bogatym i powierzchownie atrakcyjnym programem wybredniejszego widza.

Amerykańscy właściciele teatrów, w pogoni za zyskami, mniej dbają o poziom artystyczny, natomiast nadrabiają techniką i bogactwem kostiumów. Jeżeli im się to udaje, to tylko dlatego, że publiczność na ogół bezkrytyczna i mało wymagająca. Jeszcze dziś nie mogę zrozumieć że w pryncypalnej dzielnicy Nowego Jorku, jaką jest Time Square, mogą wystawiać taką szmirę. Londyn pod tym względem stoi wyżej o całe niebo. Obecne protesty Brytyjczyków pod adresem swego rządu przeciw zapychaniu angielskiego rynku filmowego produkcją z Hollywood w ramach pożyczki amerykańskiej są tym bardziej zrozumiałe.

Największy budynek świata (104 piętra) Empire State Building w Nowym Jorku.

Do rzeczy ciekawych i godnych obejrzenia w Nowym Jorku należy bezwzględnie zaliczyć Amerykańskie **Muzeum Historii Naturalnej.** Zajmuje ono ogromny gmach i jest wspaniale urządzone. Są tu zgromadzone cenne dowody, wykazujące ewolucję człowieka i skarby nauki. Liczne eksponaty i okazy życia w głębinach morskich, w dżunglach tropikalnych, kilkudziesięcio-metrowe szkielety potworów, żyjących podobno 200.000.000 lat temu. Z prawdziwą przyjemnością spędziłem w tym wspaniałym muzeum pół dnia czasu i żałuję, że nie mogłem sobie pozwolić na dalsze półtora, ażeby je zwiedzić dokładniej.

DWIE TWARZE

Nowy Jork ma dwie twarze. **Jedną na pokaz, a drugą dla siebie.**

Kiedy się przyjrzeć tej drugiej stronie amerykańskiego medalu, to okazuje się wiele rzeczy wstydliwych i mniej zachęcających. W Nowym Jorku przede wszystkim odczuwa się dotkliwie brań mieszkań, a komorne jest bardzo wysokie. Komunikacja nie jest dostateczna. W kolejce podziemnej, zwłaszcza w godzinach rannych i wieczorem, panuje ścisk okropny. Przy wsiadaniu do kolejki dzieją się sceny, **niczym rok temu** przy wsiadaniu do tramwaju w Warszawie.

Czarną plamą Nowego Jorku jest **nienawiść rasowa do Murzynów,** których mieszka tu około pół miliona. Ludność murzyńska gnieździ się przeważnie w dzielnicy Harlem. W ładniejszych dzielnicach miasta Murzynom w praktyce nie wolno się osiedlać. To też w Harlemie panują okropne warunki sanitarne i mieszkaniowe.

W rozmowach z ludnością słyszy się niezadowolenie z polityki Trumana i obawę jutra. Przeciętny obywatel amerykański **boi się wojny. Wyczuwa się tu również jakiś fatalizm.** Takie wypowiedzi jak np. — „musi się coś stać, bo bez tego nie byłoby Ameryki", albo: **„Ameryce grozi masowe bezrobocie lub jeszcze coś gorszego"** — są tu dziś zjawiskiem powszechnym.

Praktycznym zwiastunem załamania się koniunktury i niepewnych czasów jest dla Amerykanina stały wzrost cen i spekulacja niektórymi wyrobami przemysłowymi. **Do tego dochodzi nagonka, graniczącą wprost z histerią na Związek Radziecki i kraje wschodnio-południowej Europy, uprawiana przez koncerny prasowe w rodzaju Hearsta.**

W rozmowach z Polakami, nawet z tymi, którzy mają zapewniony byt w Ameryce, uderza ich tęsknota za krajem i ofiarność na rzecz pomocy Polsce. Wśród jednostek i organizacji społecznych jest prowadzona intensywna akcja zbiórkowa. Tylko obałamucona część Polonii daje się wodzić przez zbankrutowanych reakcyjnych polityków.

Każdy przyjazd polskiego statku do Ameryki odświeża w pamięci naszych rodaków wspomnienia o rodzinnym kraju. Tysiące z nich marzy o tym, aby odwiedzić Polskę po wojnie i zobaczyć się z krewnymi. Musimy to mieć na uwadze i wbrew kłamliwej propagandzie o żelaznej kurtynie pokazać im nasze osiągnięcia gospodarcze i społeczne po wojnie. Polska Ludowa nie potrzebuje dziś niczego ukrywać, a bezpośrednie zapoznanie się tamtejszej Polonii z naszą rzeczywistością wzmocni ich więzy z Macierzą.

*) **W r. 1609 nawigator Henry Hudson, wysłany przez holenderskich kupców w celach odkrywczych, zawitał do ujścia rzeki, zwanej odtąd Hudson i na widok pięknej wyspy, na której stoi dzisiaj New York — zawołał: „Manna-hata, the handsomest and most pleasent country man can behold", co w tłumaczeniu na polski brzmi: „Manna hata, najmilszy i najprzyjemniejszy kraj, jaki człowiek może ujrzeć".**

MIECZYSŁAWA BUCZKÓWNA

REPORTAŻ Z NORYMBERGI

Stanęli przed nimi cieniem ogromnym
groźni pozgonnym wyrzutem
twarze bólem obłędnym przekłute
trupy, szkielety, popioły z ludzkich ciał.

Raz jeszcze wieziono w wagonach na śmierć
za rasę, walkę, sabotaż,
ginęli rozstrzelani, gazem truci.
Raz jeszcze podkładano ogień
pod żywe kamienice z ghetta
strzelano do żydowskiego dziecka
do kobiety z niemowlęciem na rękach.

Przymykali oczy, odwracali twarze,
podłość rąk w niespokojnych ruchach,
krzyk zdławiony w grymasie warg,
osaczeni — skuci zwierzęcym lękiem
w milczeniu od nienawiści gęstym
oskarżenia żywych i zabitych
cisnęli obłudnie: „niewinni".

JACEK BOCHEŃSKI

POWRÓT

Kiedy po latach tę ziemię dziecinną zwiedzałem,
ważyłem w niej najpierw różnicę ciężaru ciała,
w znajomych kamieniach mierzyłem kroki,
wodą płukałem usta aż do smaku młodości.

Tak uporczywie w teraźniejszym materiale szukać własnej pamiątki
nie można długo. Bo pojmij —
ziemia już ciebie waży, ciebie mierzą kamienie,
substancja cię równa ze sobą i duszę twą ocenia.
O tak, zmierzony z kamieniem, z tą wodą i z chałupą,

rozumierz kłamstwa czasu,
które się we mnie kruszą.
Już nie ma mnie, ty jesteś.
Ty skutkiem moim,
ja jestem twoją przyczyną.
Dla ziemi, dla chałupy z kłamstwami czasu walczymy.

POLSKIE ZAKŁADY ZBOŻOWE

ODDZIAŁ W SZCZECINIE

komunikują, że w związku z wprowadzeniem z dniem 1.X.1948 r nowych norm przemiałowych dla przetworów zbożowych, zaopatrują ludność przez wojewódzkie i powiatowe placówki hurtowej sprzedaży tzn. P. C. H. i „Społem" w pełny asortyment mąki i kaszy w dowolnych ilościach. Podjęta została produkcja również kaszy manny oraz płatków owsianych.

Wszystkie piekarnie. sklepy detaliczne i instytucje zbiorowego wyżywienia jak stołówki, konsumy, szpitale, jak również cukiernie i t. d. mogą się zaopatrywać we wszystkie przetwory zbożowe po cenach hurtowych w najbliżej położonych hurtowniach dystrybucyjnych Państwowej Centrali Handlowej lub „Społem"

Dla przetworów zbożowych, znajdujących się w obrocie handlowym, Ministerstwo Przemysłu i Handlu - Biuro Cen ustaliło z dniem 1.X.1948 r. następujące ceny hurtowe:

mąka żytnia	97%	—	3.100,—	za 100 kg.
„ „	82%	—	3.450,—	„
„ „	65%	—	4.150,—	„
„ **pszenna**	97%	—	4.700,—	„
„ „	72%	—	5.700,—	„
„ „	67%	—	6.100,—	„
„ „	50%	—	6.800.—	„
kasza jęczmienna łamana	63%	—	4.100,—	„
„ „ **perłowa**	46%	—	5.300,—	„
płatki owsiane	—	—	6.100,—	„
kasza manna	—	—	7.900,—	„

Polskie Zakłady Zbożowe w Szczecinie pokrywać będą produkcją swoją całe zapotrzebowanie konsumcyjne rynku. Wszystkie piekarnie i sklepy detaliczne, jak również i instytucje zbiorowego wyżywienia zaopatrywać się mogą w mąkę i kasze tylko i wyłącznie w hurtowniach dystrybucyjnych P. C. H. lub „Społem" przez składanie w odnośnych hurtowniach zapotrzebowań w terminie do 1-go każdego m-ca na m-c następny. Wszelkich informacji w terenie udzielają hurtownie dystrybucyjne P. C. H. i „Społem".

POLSKIE ZAKŁADY ZBOŻOWE
Oddział w Szczecinie
Dz. Handlowy **Wydz. Sprzedaży**

CENTRALA ZŁOMU

Przedsiębiorstwo Państwowe wyodrębnione

Katowice, Powstańców 34, tel. 367-61

podaje do wiadomości co następuje:

Rozporządzenie Rady Ministrów z dn. 20 marca 1948 r. (Dz.U.R.P. nr 27, poz. 184) w sprawie obrotu i gospodarowania żelastwem, druzgiem żeliwnym, żelastwem użytkowym, oraz złomem metali i stopów nieżelaznych nakłada na wszystkich mieszkańców kraju oraz przedsiębiorstwa i instytucje państwowe i prywatne, będące w posiadaniu wymienionego wyżej złomu, obowiązek zgłoszenia go pod surowymi sankcjami karno-administracyjnymi do zbiórki po cenach wyznaczonych przez Ministerstwo Przemysłu i Handlu w terminie 30-dniowym i zabezpieczenia przed zniszczeniem.

Zgłoszenia przyjmują następujące Zbiornice Centrali Złomu:

Zbiornica:

nr 1—Katowice	Chorzowska 21	tel. 360-61
nr 2—Wrocław	Podwale Oławskie 15	tel. 36-97
nr 3—Szczecin	Nocznickiego 18	tel. 28-93
nr 4—Warszawa	Próżna 12	tel. 881-93
nr 5—Gdańsk-Wrzeszcz	Ekspedycja Towarowa Składowisko nr 6	tel. 415-15
nr 6—Kraków	Piłsudskiego 20	tel. 549-46
nr 7—Łódź	Piotrkowska 102	tel. 164-03
nr 8—Poznań	Św. Marcina 61	tel. 520-35

Hurtownia:

M. Pałaszewski — Olsztyn Liszewskiego 1 tel 21-68

NAVIGATOR

POLSKIE TOWARZYSTWO ŻEGLUGOWE

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością

GDYNIA—GDAŃSK—SZCZECIN

MAKLERZY OKRĘTOWI — AGENCI FRACHTOWI — LINIE REGULARNE

AGENCI W PORTACH POLSKICH:

Wsiesojuznoje Objedinienije „SOWFRACHT" Moskwa
Bałtijskoje Gosudarstwiennoje Morskoje Parochodstwo Leningrad
Estonskoje Gosudarstwiennoje Morskoje Parochodstwo Tallin
Łatwijskoje Gosudarstwiennoje Morskoje Parochodstwo Riga
Murmanskoje Gosudarstwiennoje Morskoje Parochodstwo Murmansk
Siewiernoje Gosudarstwiennoje Morskoje Parochodstwo Archangielsk
Czornomorskoje Gosudarstwiennoje Morskoje Parochodstwo Odessa
Sowtank Moskwa

NOTATNIK WYBRZEŻA

SZCZECIN. Premiera „Strzałów na ulicy Długiej" Świrszczyńskiej odbywała się w szczególnie naelektryzowanej atmosferze. Wydawało się, że będzie to ostatnia premiera Teatru Polskiego — a po niej — remont. Tymczasem na parę godzin przed podniesieniem kurtyny — pękła bomba. Ministerstwo Kultury i Sztuki przyjęło rezygnację dyr. Czosnowskiego ze stanowiska kierownika teatru, polecając mu równocześnie przekazanie Teatru Polskiego nowemu dyrektorowi — Zbigniewowi Sawanowi-Nowakowskiemu. Jeśli sprawdzą się pogłoski o odwołaniu remon tu, będzie to drugą sensacją...

„Strzały na ulicy Długiej" wystawiono w Szczecinie niemal równocześnie z Teatrem „Wybrzeże" a ledwie kilka miesięcy po premierze w warszawskich „Miniaturach". To utrzymywanie się sztuki w repertuarach scen, wskazuje na jej walory teatralne. Jeszcze jedną doskonałą rekomendacją tej sztuki jest to, że napisała ją autorka „Śmierci Orfeusza", utworu nagrodzonego przez „Młody Teatr". „Strzały na ulicy Długiej" to sztuka niezmiernie sceniczna, tak teatralna, że mogłaby stanowić świetny materiał do studium, jak wątłą akcję, której ledwie starczy na jeden akt, rozprowadzić można na trzy akty — bez pozostawienia widocznych szwów, bez cienia wysiłku czy sztuczności. Sugestywny dialog, umiejętne dawkowanie efektów, ich prostota a równocześnie teatralność, charakterystyka postaci żywych i prawdziwymh, a nie papierowych wycinanek, wreszcie szersza perspektywa ukazująca się widzowi z poza samej fabuły sztuki — to pierwszorzędne zalety utworu.

Po warszawskiej premierze dyskutowano żywo problematykę „Strzałów na ulicy Długiej", głęboko etyczną koncepcję sztuki, jej humanitaryzm, śmiałe przyznanie praw do bohaterstwa kobiecie niedwuznacznego prowadzenia się. Jeden z recenzentów kończył wówczas swe sprawozdanie słowami: „Drżyj Zawieyski"; Nie chcę tych rzeczy powtarzać, jako znanych miłośnikom teatru (czy są tacy?). Zajmę się raczej szczecińskim spektaklem teatralnym, wart on bowiem omówienia ze względu na oryginalność koncepcji inscenizatora p. Lotara. Wyszedł on ze słusznego — moim zdaniem — założenia, że sztuka ma nie tylko duży ładunek problemowy, ale niemniejszy nastrojowy. W tekście utworu są wyraźne pauzy, momenty zwolnionego toku akcji, które wypełnia nastrój. Otóż na tych przesłankach odczutując tekst na własny sposób, reżyser zbudował całość ujętą w ramy nastrojowych wstępów i zakończeń poszczególnych aktów. Muzyka, wizja Warszawy na odsłaniającej się merli, nieuruchomienie postaci pod koniec aktu — efekty te uczyniły ze „Strzałów na Długiej" sztukę nie o Loli, lecz o Warszawie w czasie okupacji. Reżyserowi udało się tę dawkę nastroju tak wzmocnić, że dopiero po przedstawieniu można by mu postawić zarzut zbyt pośpiesznego przygotowania tekstów śpiewanej przez Malicką piosenki, rażących nieporadnościami stylistycznymi. Dziwi mnie tylko, dlaczego tak doświadczony reżyser jak Lotar, mając do pomocy asystenta p. Feldmanównę i Malicką, nieoczekiwanie zepsuł swe własne dzieło nieharmonizującym z całością zakończeniem: Lola strzela — drzwi otwierają się — nie dzieje się nic — i dopiero następuje muzyczno-nastrojowe finale. Ten realizm sceniczny albo powinien być wygrany do końca (t. zn. z otwartych drzwi, którymi wejść mają gestapowcy, pada seria z „automatu" a Lola „pada i umiera"), albo podkład nastrojowy winien być wprowadzony wcześniej, a kurtyna opuszczana w miarę jak Lola podnosi pistolet do strzału. Wrażenie wówczas byłoby wielokrotnie większe.

Trudną rolę Loli zagrała p. Malicka. Podobno na dalszych przedstawieniach grała ją jeszcze lepiej niż na premierze. Nie odnosiłem jednak wrażenia, że daje wszystko na co stać tę doskonałą artystkę. Dykcja, pauzowanie, prowadzenie dialogu — były na premierze wzorowe. Może gry maszę, ale wydaje mi się, że do zupełnie przekonywującej sylwetki Loli brakowało w grze Malickiej większego podkreślenia dwoistości bahaterki sztuki, tego ustawicznego zadawania sobie przymusu. Natomiast momenty liryczne i tragiczne wygrane były świetnie. Józefa grał Rózgiewicz, jakoś zbyt miękko, zbyt mało było w nim bojowca, filozofującego, ale tylko na marginesie walki, która jest jego istotą. Byliński jako Barczak stworzył postać „pochroniowatą", podczas, gdy w zamierzeniach autorki miał to być raczej lowelas, wykorzystujący Lolę. Piskliwość Karniewskiej jako Helci zawinił trochę reżyser; przyjmując nastrojowość sztuki powinien był głos Karniewskiej dostosować do reszty głosów. Bardzo dobrym profesorem był Zbyszkowski, natomiast Bugajny (Franek) nie potrafił uporać się nawet z tymi kilkoma słowami, które przyszło mu wypowiedzieć.

Bardzo dobre dekoracje poddasza, nędzne wnętrze mieszkania kelnerki, przecięte rurą żelaznego piecyka, tragiczne w wyrazie jak to zielone światło zmierzchu za oknem, wychodzącym na zgnębioną lecz walczącą Warszawę — dał przedstawieniu Rajkowski. Tak tedy ostatnią premierę ustępujące kierownictwo teatru może zaliczyć do swoich sukcesów.

* * *

Miesiąc pogłębienia przyjaźni polsko-radzieckiej rozpoczyna festiwal filmów radzieckich. Będzie to — prawdziwa uczta dla miłośników filmu, tym bardziej, że filmowa produkcja radziecka cieszy się u nas wielkim powodzeniem. Na szczególne wyróżnienie zasługują tu filmy z rodzaju dotąd u nas nieznanego, mianowicie filmy egzotyczne „Narzeczona z Turkmenii" i „Pieśń tajgi". Młodzieży polecić trzeba szczególnie imponujący film dokumentarny „Młodzi idą"! Filmy te — i trzy inne — oraz następne przewidziane w październikowym festiwalu filmów radzieckich wyświetlane będą również na prowincji. W terenie pracować będzie 13 kin objazdowych, które przeciętnie mogą dać około 240 seansów dla ponad 50 tys. widzów.

* * *

Szczecin otrzyma filmowy ośrodek oświatowy, który mieścić się będzie w dawnej sali Teatru Małego. Placówką tą powinny zainteresować się nie tylko szkoły ale i związki zawodowe, które obecnie przechodzą do ożywienia działalności świetlicowej. Ożywienie to zaznacza się i na terenie województwa. Doceniając ważność upowszechniania kultury przez świetlice i zespoły przy nich zorganizowane przeznaczono milion złotych na pomoc dla teatrów amatorskich. Nie powinno się jednak skończyć na pomocy materialnej. Z pomocą fachową powinny pospieszyć amatorom teatry zawodowe i miejscowy oddział ZASP-u.

W. L.

GDAŃSK — GDYNIA

Klub Literacki w Sopocie, mający już za sobą dwa lata działalności, mierzonej pokaźną liczbą blisko 200 wieczorów literacko-artystycznych na terenie całego województwa gdańskiego (a częściowo i szczecińskiego) — rozpoczął trzeci z kolei rok swojej pracy. Zainaugurował go wieczór pt. „Naszej Warszawie" odbyty 27 września br. w sali koncertowej „Grand Hotelu". W części literackiej wieczoru prezeska Klubu, Eugenia Kochanowska - Wiśniewska, wygłosiła odczyt pt. „Warszawa w literaturze powojennej" omawiając te książki powojenne, które odzwierciedlają dzieje i atmosferę stolicy lat 1939—1945, a więc w pierwszym rzędzie „Miasto niepokonane" — Brandysa oraz „Warszawę w ogniu" — Szemplińskiej. Prelegentka umiała wydobyć z tych książek to, co w nich najcenniejsze, umiała przy ich pomocy wywołać przed słuchaczami wizję niepokonanego miasta z jego najcięższych lat — szkoda tylko, że odczyt nie obejmował wszystkich książek, na to zasługujących.

Prelegentka omawiała również poezje poświęcone Warszawie, a ściślej mówiąc, kazała mówić samym wierszom, recytowanym przez artystów Teatru „Wybrzeże" Anielę Świderską i Lecha Zarzyckiego (ten ostatni nie bardzo dorósł do zadania). — Usłyszeliśmy piękny wiersz Zb. Bieńkowskiego pt. „Warszawo", dalej znane i miłe sercu wiersze Staffa, A. Nowickiego, St. Balińskiego — natomiast nie usłyszeliśmy artystycznie najwyżej bodaj stojących utworów Jastruna czy Miłosza. A właśnie sala „Grand Hotelu", wypełniona nie liczną niestety ale literacko wyrobioną publicznością, powinna była je usłyszeć.

Na otwarcie i zakończenie wieczoru grał utwory Szopena, Szymanowskiego i Moniuszki laureat eliminacyjnego konkursu szopenowskiego Tadeusz Kerner, oklaskiwany gorąco przez publiczność. Wieczór „Naszej Warszawie" dał słuchaczom wiele szczerego wzruszenia i był niewątpliwie udanym startem Klubu Literackiego, który w ten sposób otworzył trzeci z kolei cykl popularnych na Wybrzeżu poniedziałkowych „Wieczorów Dobrej Książki".

Na drugim z kolei „poniedziałku", odbytym 4 bm. w sali Domu Literatów, wystąpiła Stanisława Fleszarowa, która omówiła „Młodość Szopena" Adolfa Nowaczyńskiego. Prelegentka mówiła o książce z entuzjazmem, to też sporo tego entuzjazmu udzieliło się słuchaczom, chociaż niejeden z nich wolałby zapewne bardziej krytyczne, bardziej własne i samodzielne podejście prelegentki do książki. Rorzutnie cytowane fragmenty dzieła — na ogół szczęśliwie dobrane — wciągnęły słuchaczy w niezmiernie interesujący świat młodzieńczych przeżyć Szopena a jednocześnie przypomniały Nowaczyńskiego Adolfa i jego oryginalny, sugestywny, dynamiczny styl. Odczyt Fleszarowej aż prosił się o ilustrację muzyczną, niestety brak pianina na sali na to nie pozwolił.

Zarówno wieczór „Naszej Warszawie" jak i „Miłość Szopena" nadają się do powtórzenia ich na prowincji woj. gdańskiego, przy odpowiedniej oprawie recytatorsko-muzycznej. **(ex).**

* * *

SŁODKI PATRONAT NAD ZAŁOGĄ M/S „BATORY"

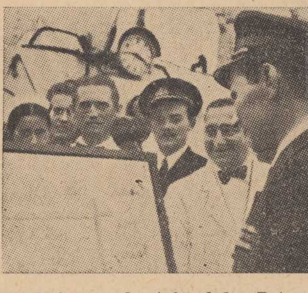

Kpt. Meissner odczytuje załodze „Batorego" tekst tablicy pamiątkowej, otrzymanej od robotników „Wedel".

Podczas postoju naszego transatlantyku w Gdyni, odbyła się uroczystość objęcia opieki nad załogą przez robotników warszawskiej fabryki „Wedel".

Akt ten, objęcie opieki, ma na celu nawiązanie bezpośrednich kontaktów z załogą, która odwiedzając liczne porty zagraniczne, staje się informatorem naszego życia codziennego w kraju. Ta nić łączności pomiędzy pracownikami warszawskiej fabryki i załogą naszego największego trans atlantyku da im możność bezpośredniej informacji. Akcja ta zainicjowana przez Ministerstwo Żeglugi i Centralną Komisję Związków Zawodowych obejmie w krótkim czasie załogi wszystkich naszych statków pasażerskich i handlowych, nad którymi patronaty obejmą poszczególne zakłady pracy przemysłu i górnictwa.

Delegaci załogi fabryki „Wedla" wręczyli marynarzom pamiątkową tablicę ilustrującą w zdjęciach odbudowę i produkcję fabryki „Wedla". Po uroczystości delegaci byli podejmowani serdecznie przez załogę.

(KOS)

Dyskusje Literackie:

SŁÓWKO O KOPCIUSZKU

Kopciuszek wciąż z popelnika wybiera mak, który rzuciła tam zła macocha. Kopciuszek drwa rąbie, wodę nosi, zaharowuje się, a królewicz z bajki w poszóstnej karocy nie zajeżdża, aby go na bal zabrać.

Ten Kopciuszek to marynistyka polska, a zła macocha to literatura polska.

Nie! — oburzycie się w jeden głos. — tego już za wiele. My hołubimy to nieopierzone pisklę, a ono nam za to sykofantstwem! Czyż na marynistykę nie jesteśmy aż tak łaskawi, że powstrzymujemy się od satysfakcji schłostania tych wypocin. Toć nikt z szanujących się ludzi piórka nie wystąpił jeszcze z ciętą krytyką tego cudackiego rodzaju.

— A i owszem, powstrzymujecie się od wszelkiej krytyki. Co prawda, to prawda. Przez to i marynistów zmuszacie do milczenia. Raz, że nie mogą pisać sami o sobie. Po drugie, o nich i o ich sprawach nie mówi się wcale. Stawiacie ich w położeniu mówców, gadających od rzeczy lub takich, którzy przyszywają swoje łatki do cudzego płaszcza.

Ponieważ ten argument jest słuszny, niejednego wyprowadzi z równowagi i pada odpowiedź: — Mamy tyle bliższych, swoich własnych serdecznych zadań.

Tak, w tym sedno rzeczy. Chodzi o emocjonalne nastawienie. O serdeczność.

Literatura polska miała zawsze grymasy. Coś podobnego zachodzi i w stosunku do marynistyki. Literatura polska ma dzieci i ma pasierby, które tylko przy ludziach, dla przyzwoitości poklepywała po ramieniu, mówiąc :

— Owszem, staraj się, Kopciuszku. Może jeszcze będą z ciebie ludzie. Nie święci garnki lepią.

Wszelkiego rodzaju utwory pakuje się do szufladki z marynistyką, a później sumarycznie je wartościowuje, np. z okazji święta morza. Średnia arytmetyczna wypada niska. Bakałarz chwali z urzędu, ale z zastrzeżeniem...

Napewno polscy maryniści chętnie zrzekną się przywileju osłaniania ich błędów i słabizny milczeniem krytyki. Napewno wdzięczni będą za przyznanie im równych praw z innymi pisarzami do wyróżnienia i do potępienia. Domagają się tylko równych praw.

Poza względami klasyfikacyjnymi wchodzi w grę i inny kąt widzenia. Utwór na tematy morskie to rodzaj egzotyki. Etykietkę egzotyczną nosi wszystko, co nie nasze polskie, rodzone. Kiedy Maria Konopnicka napisała Pana Balcera w Brazylii wypadło zielone piekło. Może i słusznie, ale efekt jest ten sam: emocjonalne wyobcowanie tematów morskich

A przecież wystarczyłoby uprzytomnić, sobie, co Polacy dokonali na świecie. Na drugiej Półkuli, w Rosji i na Dalekim Wschodzie są nazwiska polskie sławne i cieszące się wielką popularnością. Więcej, ci pionierzy polscy to przeważnie chłopi lub demokraci - rewolucjoniści. Ale ich dzieje dla nas to cudzoziemszczyzna. Stracili obywatelstwo, jak bramin traci kastę, przebywszy morze. Dotyczy to i samej literatury na tematy morskie: pozostała wyobcowana i to do tego stopnia, że w dobie objęcia przez Polskę piastowskiego dziedzictwa, doszukać się tej literatury tak trudno, jak bajecznemu Kopciuszkowi wybrać z popielnika ziarnka maku.

Masowy czytelnik na tematy morskie słabo reaguje. Do inteligenta należy nawiązać nić sympatyczną. Cóż kiedy inteligent podchodzi z nonszalancją do sprawy. Owszem, uwielbiał Conrada. Zanalizował go, sklasyfikował, okadził i na tym się skończyło. Choć Conrad, filozof i psycho log, sam siebie za marynistę nie miał, dla polskiego inteligenta stał się symbolem marynizmu w literaturze. Lecz grunt, że pozostał u nas Conradem, a nie Józefem Korzeniowskim. Inteligentowi nie otworzyły się oczy, iż to był Polak, który przezwyciężył w sobie lądowy kompleks. Stąd prosty wniosek: i Naród Polski może przezwyciężyć w sobie ten kompleks. A tym bardziej może, że musi. Zupełnie, jak Conrad. On też musiał. Dokonał tego nie przez zarozumiałość. 25 lat spędził na morzu. Od chłopca okrętowego do kapitana statku. A kiedy poznał „brzemię dowództwa" i zwyciężył w konkurencji, będąc cudzoziemcem, z Anglosasami, powiedział sobie: różnię się przecie od Polaków, jestem inny. I rzeczywiście był inny, jako jeden z nielicznych Polaków morskich. Wystarczy przeczytać to, co piszą o nim Anglicy.

Rzecz się ma całkiem po prostu — Conrad musiał. Mając 17 lat poszedł na morze. Musiał zostać marynarzem. Teraz cały naród znalazł się w podobnym położeniu. Podjął brzemię Piasta i musi dać sobie radę z morzem. Tu o nonszalancji i mowy być nie może. To gardłowa sprawa.

Dogadaliśmy się do tego, od czego należało zacząć. Do hamletowskiego „być albo nie być". Być narodem morskim oznacza dla Polaków po prostu „być". A nie być narodem morskim oznacza dla Polaka „nie być". A jeżeli się chce być narodem morskim, trzeba mieć nie tylko porty i statki, ale i ludzi, uruchamiających te porty i statki. I w konsekwencji, ci polscy pracownicy morscy muszą być treścią swojej pracy, przejmować się nią, znać ją wszechstronnie, o niej marzyć. Wwiązać się w nią psychicznie. Nie może się przy tym obejść bez literatury na tematy morskie. Potrzebni są maryniści. To się nazywa właśnie zamówienie społeczne. Morskie zamówienie społeczne.

— Owszem, potrzebni — przyznajecie i...głowę w pasek. Z powrotem na krowi pokład i do kółka Panie Macieju.

J. B. RYCHLIŃSKI.

TYGODNIK WYBRZEŻA

REDAGUJE KOMITET — Szczecin, Al. Wojska Polskiego 41, tel. 21-90. Redaktor naczelny przyjmuje od godz. 10—12. Oddział GDAŃSK — GDYNIA: Komitet Redakcyjny w SOPOCIE, ul. Sikorskiego 2, tel. 523-77. Administracja Gdynia, Portowa 8, tel. 16-85. Nadesłanych rękopisów nie zwraca się. **PRENUMERATA miesięczna 80 zł, kwart. 225 zł, półr. 440 zł, roczna 860 zł. Cennik ogłoszeń: 1 mm łamu szer. 63 mm w dziale ogłoszeń — 50 zł, w tekście — 100 zł, przetargi 1 mm łamu 63 mm 100 zł. Strona — 75.000, ½ str. 40.000 zł, ¼ str. 25.000 zł.**

KONTA: BGS: 656, PKO: X-892.

WYDAWCA: Spółdzielnia Wydawnicza „POLSKIE PISMO I KSIĄŻKA" w Szczecinie Al. Wojska Polskiego 39 — Telefon 25-06 Skład maszynowy w drukarni Nr. 10, Sp. „Czytelnik" w Szczecinie. Układ graficzny i druk w drukarni P. P. K. w Szczecinie X-097160